

Joan Elliot Pickart

Kamienne serce

(The Devil in Stone)

Rozdział 1

– Co, u diabła, zrobiła pani z moją matką?!

Robert Stone, nim jego szorstkie słowa zdążyły przebrzmieć, zrozumiał, że popełnił niewybaczalny błąd.

Stojąca przed nim kobieta przestała się ciepło, życzliwie uśmiechać i z gniewu aż zacisnęła usta. Jej ciemne oczy błysnęły furją, po czym się zwęziły, napotkawszy wściekłe spojrzenie Roberta.

Robert poczuł, że coś tu nie jest w porządku. Zawsze zwykł ważyć słowa, jednak rozdrażnienie, upał, przestawienie pór dnia po podróży lotniczej wzięły górę. Poza tym bardzo się martwił o swoją sześćdziesięciopięcioletnią matkę, Bessie Stone.

Teraz dzięki swojej gafie stał twarzą w twarz z krańcowo rozgniewaną i do tego bardzo piękną kobietą.

Szczupła sylwetka, małe, kształtne piersi – wszystkie jej zalety podkreślał strój w stylu wiejskim: niebieska drelichowa spódnica i biała bluzka. Robert nagle zapragnął, żeby wyszła z za kontuaru; chciał zobaczyć, czy jej nogi są równie kształtne jak reszta ciała.

Była wysoka; miała około metra siedemdziesięciu. Śniada cera, wystające kości policzkowe i prawie czarne oczy pozwalały sądzić, że w jej żyłach płynie indiańska krew. Rysy jej twarzy były delikatne. Jej uśmiech, nim zniknął, ukazywał zmysłową

linię ust i białe zęby. Miała dwadzieścia sześć, może dwadzieścia siedem lat. Jej włosy, gęste i lśniące, spadały jak hebanowy wodospad na plecy. Robert zastanawiał się, dokąd sięgają. Jest piękna, myślał, piękna i wściekła jak diabli.

– Chwileczkę – powiedział. – Zaczniemy jeszcze raz, dobrze? Przepraszam za moje zachowanie. Nazywam się Robert Stone. Nie miałem prawa wtargnąć do pani sklepu w ten sposób. Przeleciałem pół świata, żeby dotrzeć do Tucson. Nawet nie wiem, jaki dziś jest dzień. Zdaję sobie sprawę, że to nie tłumaczy mojego postępowania, ale...

Przerwał. Bełkoce jak skarcony nieposłuszny dzieciak, myślał z niedowierzaniem. Tymczasem ta kobieta nawet nie drgnęła, nie złagodziła wyrazu twarzy. To żenujące tłumaczyć się i przepraszać kogoś, kto nagle okazał się posągiem. Czas z tym skończyć.

Pewnym krokiem podszedł do kontuaru.

– Wiem, że trafiłem do właściwego sklepu – rzekł, starając się zachować cierpliwość i uprzejmy ton. – Na szyldzie jest napis *Wschodzące Słońce*. Właśnie tę nazwę wymieniła w liście moja matka. W takim razie pani jest tą „miłą młodą kobietą”, o której wspominała.

Cisza.

– W porządku – powiedział Robert. – Czy nie nadweręży to

zbytńio pani mózgu, jeżeli poda mi pani swoje nazwisko?

Spokojnie, pomyślał. Z tą kobietą należało postępować łagodnie. Wydawało mu się, że skądś ją zna, lecz nie był pewien, czy zmęczony umysł nie płata mu figła.

– Przepraszam. Mam przyjemność z panią... panną...

– Holt – powiedziała. Jej głos był równie nieprzyjazny jak wyraz twarzy. – Panna Winter Holt.

– Śliczne imię. – Uśmiechnął się szeroko. – Bardzo mi się podoba.

– Nie miałam nic do powiedzenia w tej sprawie. To wybór moich rodziców.

Krok naprzód, dwa krokw tył. Niełatwo rozmawiać z Winter Holt. Winter – zima. Poetyckie imię, które bardzo pasowało do tej dziewczyny. Doświadczył istotnie lodowatego przyjęcia.

– Panno Holt... Winter, jeżeli mogę... Niepokoję się o los mojej matki. Znasz Bessie Stone?

Nim Winter zdążyła odpowiedzieć, otwarły się drzwi i do sklepu wkroczyła para w średnim wieku.

– Dzień dobry!

– Dzień dobry. W czym mogę państwu pomóc?

– Szukam kolczyków pasujących do naszyjnika żony – rzekł mężczyzna.

– Proszę podejść do końca lady. Z pewnością znajdziemy coś

odpowiedniego.

Oddaliła się, nie zaszczycawszy Roberta nawet przelotnym spojrzeniem; on zaś wpatrywał się w nią zafascynowany. Nigdy dotąd nie zachowywał się tak w towarzystwie dopiero co poznanej kobiety. Jej obecność sprawiła, że wyobraźnia zaczęła podsuwać mu śmiałe erotyczne obrazy. Jak miło byłoby pieścić, całować, odkrywać pod jedwabistą kurtyną włosów piersi Winter... Stone, na Boga, przestań!

Odwrócił się zaczął się rozglądać. Sklep był obszerny i estetycznie urządzone. *Wschodzące Słońce* oferowało klientom wiele wyrobów indiańskiego pochodzenia: plecione koszyki, koce, biżuterię, naczynia. Przez witrynę widać było dziedziniec z tryskającą fontanną, dalej olbrzymi hotel oraz przedgórze upstrzone domkami. Wszystko tu miało klasę, zaś metki świadczyły o tym, że sklep nie należy do najtańszych.

Robert kręcił się po sklepie, podsumowując ostatnie kilka minut. Informacje były raczej skąpe: Winter Holt jest wspaniała, *Wschodzące Słońce* ma dobrych właścicieli, w Tucson we wrześniu jest gorąca jak w piekle. Jedno pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Gdzie jest matka? Robert czuł zmęczenie przenikające kości. Pulsujący ból rozsadzał mu skronie.

Winter zdjęła tacę z biżuterią, której przepych wzbudzał niekłamany zachwyty klientów.

– Te ozdoby wykonują Nawajowie – wyjaśniła Winter. – Mieszkają na północ od Tucson, w okolicach Flagstaff, Sedony i Oak Creek.

~ Jesteś Nawajką, moja droga? – zapytała kobieta.

– Nie, Apaczką Chiricahua. Jeżeli ma pani życzenie przymierzyć kolczyki, tam jest lustro. Proszę się dobrze zastanowić. Nie ma powodu do pośpiechu.

Para zajęła się oglądaniem biżuterii. Winter spojrzała na Roberta. A więc to jest Robert Stone, myślała. Pani Bessie mówiła o nim Bobby. Zapewniała, że list do syna rozwieje jego obawy. Winter odnosiła się do tych zapewnień sceptycznie. Nie dziwiła się, że Robert wyglądał jak wojownik na wojennej ścieżce.

Zaskoczył ją natomiast fakt, że młody Stone był nieprawdopodobnie przystojnym i dobrze, zbudowanym mężczyzną. Bessie często żałowała, że nie ma zdjęcia swego ukochanego syna. Nie mogąc pokazać fotografii Bobby'ego, snuła długie opowieści o tym, co robi i jak wygląda.

Winter uwielbiała panią Bessie. Uważała, że jest energiczną, inteligentną, niezależną i odważną starszą damą. Czasami nie mogła zgodzić się do końca z jej mniemaniem o Robertcie. Sądziła, że wylewne pochwały są typową, przesłodzoną opinią matki o jedynym dziecku.

Okazało się jednak, że Bessie nie przesadzała. Robert wydawał

się nawet bardziej atrakcyjny, niż to wynikało z opisów. Wysoki na metr osiemdziesiąt pięć, miał gęste, rozświetlone słońcem jasne włosy, oczy niebieskie niczym letnie niebo nad Arizoną, surowe rysy, jednym słowem: był to przystojny mężczyzna, a nie lalusiowaty typek, jakich wszędzie pełno. Całości obrazu dopełniały szerokie barki, wąskie biodra, muskularne długie nogi, rysujące się pod spodniami, oraz seksowny, kołyszący chód sportowca.

Na dodatek, myślała Winter, wstrzymując śmiech, ślicznie się rumieni. Dawno nie widziałam takich rumieńców.

– Te będą doskonale – rzekła kobieta przymierzająca przed lustrem koleczki.

Winter odwróciła się w stronę rozmawiającej pary. Chwilę później klienci opuścili sklep, szczęśliwi z udanego zakupu. Drzwi zamknęły się za nimi i niespodziewana cisza zaniepokoiła Winter. Wolno podniosła wzrok na Roberta; w tej samej chwili i on odwrócił się ku niej.

Mimo że rozdzielało ich całe wnętrze sklepu, miała wrażenie, jakby stali twarzą w twarz. Czuła autentyczne podniecenie zbliżające ich ku sobie i prowokujące ich zmysły. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wyslizgnęła się zza kontuaru i ruszyła w stronę Roberta. On również zaczął iść w jej kierunku. Spotkali się na środku pomieszczenia w blasku słońca zagładającego przez

okno. Stali bez słowa, nieświadomi upływu czasu.

Robert rozkoszował się widokiem Winter, dyskretnym aromatem dzikich kwiatów, wyobrażeniem dotyku satynowej skóry i jedwabistych włosów.

Winter smakowała leśny zapach wody kolońskiej Roberta i jego potu – czysty zapach mężczyzny. Wyobrażała sobie swoje palce gładzące zarost, który ocieniał rzeźbione szczęki, i muskające blond loki na piersi odsłoniętej przez rozpiętą jasnoniebieską koszulę.

Podniosła wzrok i patrzyła na jego usta; usta, które, jak zauważyła, chciały całować. Musiały całować. Teraz.

Drogi Boże, myślał Robert. Muszę pocałować Winter Holt, bo w przeciwnym razie zwariuję. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się ulec takiej powodzi zmysłów. Ta kobieta fascynowała go. Muszę ją mieć, myślał. Teraz.

– Winter – usłyszał jej imię wypowiedziane drżącym z podniecenia głosem. Z zakłopotaniem skonstatował, że to jego głos. Mrugnął, wstrząsnął głową, jakby starając się ulżyć myślom, po czym zmusił się, by zrobić krok w tył.

– Zakłócenie rytmu – powiedział ciągle tym samym zdławionym głosem.

– Słucham? – Winter nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Ja... hm... – Robert z trudem przełknął ślinę. – Jestem ledwo

żywy. Zakłócenie rytmu dobowego, wiesz... powoduje zaburzenia równowagi biologicznej... czy też chemicznej organizmu, zmuszając do działań... eee... reakcji nie zawsze zgodnych z normalnym zachowaniem;

Te skomplikowane wyjaśnienia wyrwały Winter, z siodeł zmysłowego otumanienia. Ona też odstąpiła o krok.

– Tak, oczywiście – powiedziała. – Zakłócenie rytmu dobowego. Też padłam kiedyś jego ofiarą. Panie Stone, czy mogę zasugerować, aby zatrzymał się pan w „Chiricahua” – to ten duży hotel – i nieco się zdrzemnął? Powinien pan być teraz w łóżku.

Ze mną, myślała. Powinieneś być w łóżku i kochać się ze mną. Do licha, co się dzieje?!

– Sen – dokończyła już spokojniej. – Tego pan teraz potrzebuje.

– Tak... łóżko.

Robert pokiwał głową. Oczywiście, powinienem być w łóżku, myślał. Z Winter. Cholera! Stone, dość tego!

– Nie. Nie – rzekł twardo. – Nie pójdę do łóżka spać, dopóki nie zobaczę się z matką. Niestety, panno Winter, w ten sposób powracamy do początku rozmowy. Co zatem, do diabła, zrobiła pani z moją matką?

– Nie zrobiłam z nią nic – odpowiedziała, a gniew znów błysnął w jej oczach. – Mówi pan to takim tonem, jak gdybym porwała ją dla okupu albo zrobiła coś równie potwornego. Bessie

Stone jest gościem w moim domu. Kiedy po raz pierwszy spotkałyśmy się parę miesięcy temu, od razu nawiązała się między nami nić porozumienia. Później, gdy jej towarzysze podróży wracali do Nowego Jorku, zdecydowała się zostać. Wyprowadziła się z hotelu „Chiricahua” i na moją prośbę zamieszkała u mnie w jednym z pokoi gościnnych. Jest czarującą kobietą i bardzo chwalimy sobie nasze towarzystwo. Wysłała na pański paryski adres list, w którym opisała . tę historię.

– W porządku. Dostałem list, z którego wynika, że moja sześćdziesięcioletnia matka nie wraca z podróży na Zachód, lecz przenosi się do – cytuję – „uroczej młodej kobiety” i jest zachwycona jakimś sklepem zwanym *Wschodzące Słońce*. Powinienem wzruszyć ramionami i powiedzieć: „Jasne, mamo, nie ma sprawy, jak uważasz”. Do licha, Winter, moja matka jest bardzo zamożną kobietą i choć; nie można powiedzieć, że jest niedołączna, jej zaawansowany wiek w połączeniu z faktem, że owdowiała ^zeszłym roku, mogły uczynić ją podatną na różne zagrożenia, powiedzmy...

– Teraz niech pan posłucha, drogi panie! – przerwała ostro Winter, biorąc się pod boki. – Zarzuca mi pan, że jestem jakąś sprytną oszustką mającą zamiar ograbić starszą kobietę z pieniędzy. Jestem oburzona... Och, to słowo nawet w części nie oddaje tego, co czuję, słuchając pańskich bredni. Jest pan bez

wątpienia najbardziej nieuprzejmym, podłym, impertynenckim, aroganckim... – Nagle przerwała potok inwektyw i wskazała drzwi. – Proszę wyjść z mojego sklepu!

– Nie. Jeżeli zechce pani na moment powstrzymać emocje i spojrzeć na to wszystko z mojego punktu widzenia, zobaczy pani, że w świetle tych niepełnych informacji, które miałem, sytuacja wyglądała bardzo podejrzanie. Pozostało mi wsiąść w samolot i przylecieć tu tak szybko, jak to tylko było możliwe.

– A co teraz? Wezwie pan FBI, żeby wyprowadzili mnie krzyczącą i kopiającą i wsadzili do pudła za porwanie pańskiej matki?! Panie Stone, sądzi pan, że Bessie potrzebuje troskliwej opieki i że nie potrafi samodzielnie kierować swoim życiem? To śmieszne. Bessie Stone jest inteligentną, niezależną kobietą i świetnie daje sobie radę. Jestem pewna, że to jakiś przerażający samczy instynkt każe panu wdzierać się tułaj, by wybawić biedną, słabą zakładniczkę z rąk okrutnych Indian. Jest pan człowiekiem pozbawionym wszelkich zasad! A teraz niech pan zabiera swoje tłuste cielsko z mojego sklepu! Winter skończyła i westchnęła głęboko.

– Jest pani absolutnie piękna, kiedy się złości – powiedział cicho Robert.

– Dobry Boże! – Winter wzniosła oczy ku niebu. – Teraz odgrywamy jakieś bzdurne sceny ze starych filmów.

Robert spojrzął jej w oczy.

– Czy ja pani już gdzieś nie widziałem?

– Tak. W trzeciorzędnych filmach. Do widzenia, panie Stone. Poznanie pana nie było przyjemnością. – Odwróciła się i pomaszzerowała z powrotem za ladę.

– Proszę się nie odwracać. – Robert podbiegł i zagroził jej drogę. – Powiedziałem, co myślę. Z pewnością zabrzmiało to staromodnie. Jest pani piękna, rozgniewana lub nie. Oczywiście, częściej widziałem panią zdenerwowaną, lecz mimo to wygląda pani ślicznie. – Przerwał na chwilę. – Nieważne... na razie. Rozumiem, że jeśli mówi mi pani, gdzie jest moja matka, to mogę z nią porozmawiać. Chyba nie proszę o zbyt wiele?

– Nie, nie sądzę westchnęła.

– Jeszcze jedno pytanie – z uśmiechem powiedział Robert.

– Słucham?

– Czy pani naprawdę uważa, że mam tłuste cielsko? Otworzyła szeroko oczy, zaskoczona, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Naprawdę to powiedziałam... w porządku, wykrzyczałam? Niestety, jak widać, czasami mnie ponosi.

Robert powstrzymał się od przytaknięcia.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Usłyszał pan z pewnością wiele komplementów na temat swojego wyglądu i nie może pan oczekiwać ode mnie kolejnej

podobnej opinii. Nieważne, co o panu myślę.

Owszem, bardzo ważne, myślał Robert – Nagle stało się to dla niego dość istotne. Nie chodziło mu o ocenę swej postury w dziesięciostopniowej skali, lecz o to, co Winter myśli o nim jako o mężczyźnie, a nie synu Bessie. Zapomnij o tym, powiedział sobie. Zmęczenie znów dawało mu znać o sobie; poczuł ucisk w głowie.

Drzwi otwarły się i do sklepu weszła młoda kobieta w ciąży. Jej rysy zdradzały indiańskie pochodzenie.

– Cześć, Winter – powiedziała. – Już mogę cię zastąpić. Czy jest coś, co powinnam wiedzieć?

– Witaj, Siki – odparła Winter. – Był duży ruch, lecz zdążyłam uzupełnić towar na półkach. Jeżeli czegoś będziesz potrzebować, wiesz, gdzie tego szukać w magazynie. Poza tym wszystko powinno być w porządku, a gdyby...

– A gdyby coś się działo, mam do ciebie zadzwonić – dokończyła Siki i spojrzała na Roberta. – Cześć! Jestem Siki Nanchez.

– Robert Stone.

– Stone? – Siki uniosła brwi. – Zaczyna się zabawa. Czy Bessie wie, że pan tu jest?

– Jeszcze nie.

– A ja się założę, że tak. No cóż, bawcie się dobrze, ludkowie!

– Hm – mruknęła Winter. – Panie Stone...

– Robercie.

– Bobby – rzekła słodko. – Moja furgonetka stoi przed sklepem. Pojedź za mną, zawiozę cię do matki.

– Nie do wiary! – powiedziała. oschle Siki. – Widzę, że się wspaniale rozumiecie.

– I to bez słów – odparła Winter. – Do zobaczenia, Siki – powiedziała i zniknęła w drzwiach za ladą. Robert odwrócił się do Siki obserwującej go badawczo.

– Niech blada twarz uważa – powiedziała Siki. – Jeżeli rozniewasz Winter, możesz mieć poważne kłopoty.

– Bez żartów – odparł, krocząc do wyjścia. – Apacze już chyba przestali skalpować ludzi?

Siki wybuchła śmiechem.

– Ciekawa myśl. Trochę szkoda, bo masz wspaniałą czuprynę, przyjacielu. Cześć!

– Do widzenia. – Robert wyszedł ze sklepu.

Niebo nad pustynią przecięła smuga purpury, różu i złota. Robert nigdy nie widział tak pięknego zachodu słońca. Podążał za białym furgonem Winter zakurzoną drogą prowadzącą w stronę gór. Teren wznosił się powoli. Winter skręciła w boczną drogę dojazdową. Oczom Roberta ukazał się duży dom, trochę przypominający ranczo. Wykonany z suszonej na słońcu cegły,

nie stanowił kontrastu na tle otaczającej go pustyni.

Winter zaparkowała na podjeździe, Robert zatrzymał się obok.

– Winter, czy możemy zawrzeć rozejm? – zapytał po wyjściu z samochodu.

– Tak powiedział kiedyś Custer – odparła i ruszyła do domu.

– Wielkie dzięki.

Jestem taka niemą, myślała Winter, szukając kluczy w torebce. Takie zachowanie nie było w jej stylu.

Rozumiała troskę Roberta o swą matkę, lecz nie okazała mu ani odrobiny współczucia.

Nawet wiedziała dlaczego. Była zbyt poruszona wrażeniem, jakie na niej wywarł. Nie czuła takiego napływu pożądania od czasu, gdy z całą ostrością uświadomiła sobie swoją kobiecość.

Nie chciała doświadczyć tego ponownie.

Otoczyła swoje serce murem wysokim i mocnym, zapewniającym spokój od czasu... Nie chciała rozdrapywać starych ran. Musi być czujna, uważać na słowa Roberta, dziwne i czułe zarazem, zdolne opleść i uwięzić.

Otworzyła drzwi i weszła do domu. Robert wsunął się za nią. Powietrze owionęło ich swym przyjemnym chłodem – znak, że klimatyzacja działała bez zarzutu.

– Dzień dobry – zawołała Winter. – Już jestem.

Robert, stanąwszy w progu, rozglądał się po olbrzymim pokoju

dziennym. Dywany w kolorze suszonej cegły, takim jak elewacje, dawały wrażenie ciągłości przestrzeni na zewnątrz i wewnątrz budynku. Na białych ścianach zamiast obrazów wisiały jaskrawe indiańskie kilimy. Wielobarwne poduszki leżały na meblach.

Kamienny kominek przy przeciwległej ścianie wieńczyła drewniana półka z koszykami. Mniejsze naczynia i figurki stały na stolikach, cętkując ich ciemne powierzchnie. Jedną ze ścian pokoju stanowiło olbrzymie, od podłogi do sufitu, okno, ukazujące wspaniały widok piętrzących się skalistych szczytów.

– Fantastyczny pokój – rzekł Robert. – Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego. Ale też nigdy nie byłem w Arizonie. Masz uroczy dom, Winter.

– Dziękuję – rzekła; nie spojrzawszy na Roberta. – Dzień dobry! – zawołała raz jeszcze.

Odłożyła portfel na stół i ruszyła przez pokój. Obrótowe drzwi po przeciwnej stronie otwarły się i do środka weszła drobna, niewysoka kobieta o krótkich siwych włosach. Jej zielona, błyszcząca sukienka mimo prostego kroju dodawała całej postaci blasku zamożności.

– Dzień dobry, Winter, kochanie – rzekła kobieta. – Jak było dzisiaj w... ? – urwała zaskoczona. – Bobby?!

Robert rozłożył ramiona, jego twarz przybrała raczej obojętną minę.

– Cześć, mamó. Byłem w okolicy, pomyślałem więc, że wpadnę. – Wstrząsnął głową i zamilkł. – O co tu chodzi? Nigdy nie byłaś tak... tak lekkomyślna. Rozmawiałem z twoimi przyjaciółmi. Wrócili z podróży sześć tygodni temu. Dziwili się tobie i byli źli na ciebie. Moja obecność dowodzi, że twoje niepoważne postępowanie nie wywarło na mnie większego wrażenia.

– Zostawiam was samych – powiedziała Winter. – Nie chcę przeszkadzać; to prywatna rozmowa.

– Nie, Winter – rzekła Bessie. – Proszę, nie odchodź. Jestem twoim gościem, zatem dotyczy to też ciebie. Poza tym obiad jest już gotowy. Właśnie miałam podawać do stołu.

– Ty podajesz obiad do stołu? – zdziwił się Robert. – A kto gotował?

– Ja gotowałam. – Bessie dumnie uniosła głowę.

– Mamó, twoim największym kulinarnym osiągnięciem była filiżanka kawy. Przecież ty nie umiesz gotować.

– No cóż, uczę się – odparła z gniewnym parsknięciem. – Miałam parę wpadek, ale ogólnie radzę sobie zupełnie dobrze, i wspaniale się bawię. Nie otrułam dotąd Winter, a to już jest sukces. Droga Winter, czy masz coś przeciwko temu, aby Bobby towarzyszył nam przy obiedzie?

– Nie, oczywiście nie. Zjedzmy, póki gorące, dobrze? Robercie,

możesz umyć się w łazience; pierwsze drzwi po wyjściu z holu. Spotkamy się w kuchni.

– Doskonale – powiedziała Bessie, po czym obydwie wyszły z pokoju.

– Hej! – powiedział Robert rozglądając się. – Cholera.

Znalazł łazienkę.

Odświeżony dotarł do kuchni.

Pomieszczenie było większe niż pokój dzienny; zajmowało całą szerokość tylnej części domu. Część jadalna w dużym oszklonym wykuszu oddzielona była od zasadniczej kuchni sklepionym przejściem. Pustynia na zewnątrz wykuszu powodowała wrażenie posiłku na wolnym powietrzu.

Okrągły stół przykryty szkłem otaczały proste krzesła, których tapicerka harmonizowała z taboretami pod oknem.

Bessie uzupełniała nakrycie; miała pleciana mata w brzoskwiowym kolorze, srebrne sztucce, talerz, szklanka i lniana serwetka.

– Mamo – zaczął Robert. .

– Jestem zajęta, kochanie. Usiądź i nie przeszkadzaj mi, dopóki nie podam obiadu. Bądź grzeczny.

Robert opadł na krzesło.

Bądź grzeczny, powtórzył w myśli. Jego matka nigdy tak nie mówiła. Nigdy też nie gotowała. Zawsze miała cały sztab do

wykonywania robót domowych. Nigdy nie łamała reguł postępowania, sposobu życia jej błękitno-krwistego środowiska. Ludzie jej pokroju, pochodzący z dawnych, możliwych rodów, mieli swoje zasady i nie odstępowali od nich. Bessie – niech niebo ma ją w opiece – uszkodziła ten precyzyjny mechanizm. Czy to oznaka starzenia się? – Pachnie wspaniale – powiedziała Winter, wszedłszy do kuchni.

Robert spojrział na nią. Przebrała się w dzinsy i żółtą bawełnianą koszulkę z wizerunkiem jaskrawego ptaka na piersi. Na nogach miała białe sandały, włosy zaś splotła w warkocz.

Wyglądała może na dwadzieścia lat, lecz otaczał ją nimb dojrzałości; jakaś zmysłowa esencja, zdająca się krzyczeć, że nie jest już dziewczyną, lecz w pełni ukształtowaną kobietą; kobietą bardzo piękną i wartą grzechu.

Winter Holt nie jest istotna, pomyślał Robert. Ważna jest Bessie. Musiał zabrać biedną, najwyraźniej chorą umysłowo matkę do Nowego Jorku i oddać ją pod opiekę lekarzy.

Winter postawiła na stole dzbanek z brązowym płynem.

– Słoneczna herbata – powiedziała, nie patrząc na Roberta. – Powinniście spróbować bez cukru. Ma w sobie naturalną słodycz.

– Co to jest „słoneczna herbata”? – zapytał, zerknąwszy na dzbanek.

– Dokładnie to, co mówi nazwa. Stawia się zamknięty słoż z

wodą i torebkami herbaty na słońcu i w ten sposób parzy.

– Enchilado z kurczaka – oznajmiła Bessie, podszedłszy do stołu.

Na ceramicznej płytce postawiła kamionkowy garnek z potrawą, pomalowany w kwiatki, po czym pomaszerowała do kuchni. Wróciła po chwili, niosąc półmisek z sałatą. Obydwie usiadły wreszcie, a Winter zaczęła nakładać enchilado na talerze.

– Obsłuż się, Bobby – powiedziała Bessie. Robert wziął sobie na talerz mały kawałek, po czym ostrożnie włożył go do ust.

– Dobre stwierdził, zaskoczony.

– Ugotowałam naprędce według przepisu Winter – rzekła dumnie Bessie. – Winter, czy dobrze pocięłam zieleninę?

– Jest wspaniała – odparła Winter.

– Dziękuję, kochanie. Myślę, że jutro spróbuję upiec chleb pita.

Robert odłożył widelec i spojrzał znacząco na matkę.

– Błąd. Jutro nie upieczesz chleba pita. Jutro rano lecimy oboje do Nowego Jorku. Inaczej mówiąc: wracasz do domu.

Rozdział 2

Zapadła otepiająca cisza.

Winter spoglądała to na Bessie, to na Roberta, zastanawiając się, które z nich odezwie się pierwsze. Oboje nie sprawiali wrażenia zadowolonych.

Sekundy płynęły wolno w martwocie pełnej wściekłych spojrzeń, w końcu Bessie westchnęła głęboko i uniosła głowę.

– Nie – powiedziała pewnym głosem. – Nie jestem jeszcze gotowa, by powrócić do Nowego Jorku i do trybu życia, który tam wiodłam. Jestem w Tucson ponad dwa miesiące i dawno nie byłam taka szczęśliwa. Spotkałam Winter w dniu przyjazdu i od razu wiedziałam, że się zaprzyjaźnimy. Kiedy zaprosiła mnie do swego domu, nie zastanawiałam się ani przez sekundę. – Potrząsnęła głową. – Nie, nie wrócę do domu, w każdym razie nie teraz.

Robert wyprostował się i uderzył dłonią w stół.

– Do diabła, mamó! – zawołał. – To szaleństwo! Masz zobowiązania. Nie rozwiązałaś spraw, za które jesteś odpowiedzialna. Jesteś prezesem różnych organizacji charytatywnych, masz przygotować zabawę bożonarodzeniową w Plaża... I cholera wie co jeszcze. Robisz to od wielu lat.

– Zbyt wielu – odparła Bessie. – W tych organizacjach są

wiceprezesa. Niech oni się tym zajmą. Zawsze było tak, że stara, poczciwa Bessie Stone poświęcała swój czas. Teraz chcę robić to, na co mam ochotę.

– Na przykład uczyć się gotowania? Na Boga, dlaczego nagle cię to zainteresowało?

– Nie zamierzam dorabiać do tego ideologii. Po prostu chcę gotować i zamierzam właśnie tym się zająć.

Robert wbił wzrok w sufit, starając się opanować. Po dłuższej chwili spojrzał na matkę i siląc się na uprzejmość, rzekł:

– Mamo, posłuchaj, proszę. Nie jesteś sobą. Zachowujesz się jak protestująca nastolatka. Rozumiem to i nie potępiam, lecz powinnaś zajrzeć w głąb swojej psychiki. Może pomogłaby ci wizyta u psychoanalityka. Na pewno ostatnio nie było ci lekko. Po śmierci ojca musiałem wyjechać za ocean, aby doglądać inwestycji, które z ojcem rozpoczęliśmy. Robiłem, co mogłem, aby wrócić do Nowego Jorku, zanim...

– Zanim nie będę znowu grzeczną? – przerwała Bessie. – Robertcie, jesteś nadętym bufonem. Rozstawiasz ludzi po kątach i spodziewasz się, że będą siedzieć cicho po to tylko, żeby cię nie rozzłościć. Masz swoje życie zaplanowane do końca, zupełnie jak twój ojciec. Kochałam tego człowieka. Przed laty zostałam przez niego zaprogramowana do bezwolnego działania według Głównego Planu Henry'ego Stone'a. Przejąłeś sprawy po ojcu i

wybacz, młody człowieku, ale będę przegrana, jeżeli pozwolę ci pokierować moim życiem. Mam wreszcie okazję zmienić swój los i chcę ją wykorzystać.

Brawo, Bessie, myślała Winter, rozbawiona. Na jej oczach nowa Bessie Stone walczyła o swoją prawdziwą osobowość, dotychczas skrywaną, walczyła o wolność, której nigdy nie dane jej było zaznać. A w Robertcie, myślała Winter, z każdą chwilą wzbiera złość. Bessie miała rację; Robert był rzeczywiście synem swojego ojca, tak samo rugującym przypadkowość ze swojego życia, kierującym się zimną kalkulacją. Oto, myślała, stary kawaler we wspaniałym młodzieńczym ciele.

– Po raz pierwszy, odkąd pamiętam – wyszeptała Bessie – jestem *para-ah-dee-ah-tran*.

– Co? – Robert zmarszczył brwi.

– Zadowolona powiedziała Winter. – To jest słowo z języka Apaczów.

Spojrzał na Winter, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność. Uprzejme wyjaśnienie rozzłościło go jeszcze bardziej.

– Świetnie – stwierdził sarkastycznie. – Wśród nowych fantastycznych przedsięwzięć mojej matki jest też nauka języka Apaczów.

Winter wzruszyła ramionami, oglądając paznokcie, po czym spojrzała na Roberta.

– To fascynujący język – powiedziała. – Cała kultura Indian jest interesująca. Można z niej czerpać wiele mądrości. Wychowałam się w obydwu światach i wiem, jak wiele indiańskich wierzeń ma logiczne podstawy. *Para-ah-dee-ah-tran*, „być zadowolonym”, znaczy też: „być chronionym i otoczonym życzliwością”. Czy nie uważasz, że każdy ma prawo być zadowolonym z życia w tym właśnie sensie?

– Nie – odrzekł zdecydowanie – jeżeli osiągnie to za cenę czyjegoś powodzenia. Miejsce człowieka na ziemi jest dokładnie określone i...

– Drogi Boże – westchnęła Winter, ucinając potok słów. – A co ze zmianami, rozwojem, przechodzeniem przez kolejne etapy życia? Jak widzisz siebie za dwadzieścia lat?

– Będę robił dokładnie to, co teraz zacząłem – odparł, zacisnąwszy szczęki. – Jestem szefem Stone Investment Corporation od śmierci mojego ojca i będę nim, dopóki nie umrę. Mój cel i droga do niego są klarowne. Postępowałem rozważnie, podobnie jak moja matka, nim trafiła do Tucson. Może ty kierujesz się zawsze intuicją, Winter, ale nie rodzina Stone’ów.

– Tacy właśnie są wszyscy Stone’owie – rzekła Bessie.

– Do diabła! – Robert zamknął oczy, skulił się na krześle i dłonią objął brodę.

Fala czułości ogarnęła obserwującą go Winter, która wciąż

pamiętała, że dopiero co zakończył wyczerpującą podróż, i nie było zatem sensu dyskutować z nim obecnie. Zmęczenie Roberta prowadziło siłą rzeczy do ostrzejszych, bolesnych słów. Matka i syn nie powinni tak rozmawiać ze sobą.

– Robercie – powiedziała Winter – twój odpoczynek naprawdę przysłuży się nam wszystkim. Co prawda nadchodzi zima, lecz jestem pewna, że w hotelu „Chiricahua” będzie wolny pokój lub nawet apartament. Lepiej chyba odłożyć wszystko do jutra.

– Winter ma rację, mój drogi. Potrzebujesz snu – dodała Bessie.
– Nic dziś nie osiągniemy. Dlaczego nie pojedziesz do hotelu i nie wrócisz jutro rano?

– Dobrze – odparł Robert. Jego ociężałe kroki świadczyły o jego fizycznym wyczerpaniu. – Dziękuję za obiad. Do widzenia paniom.

– Odprowadzę cię do drzwi – powiedziała Winter. Poszła za nim przez korytarz i pokój dzienny.

– Robercie powiedziała cicho, gdy stanęli w drzwiach.

– Czuję się zakłopotana. Nie chciałam spowodować niesnasek między tobą a Bessie. Mam nadzieję, iż zdajesz sobie sprawę, że Bessie zostałaby w Tucson, nawet gdybym nie zaprosiła jej do siebie.

Potarł dłonią kark.

– Taaak – rzekł przytłumionym głosem. – Podcina gałąź, na

której siedzi. Nigdy nie widziałem jej tak upartej, tak nieustępliwej.

– Wiem, jak bardzo potrzebujesz snu, lecz chcę ci jeszcze coś wyznać.

Uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Uczciwość jest dla mnie bardzo ważna – ciągnęła – muszę ci więc powiedzieć, że nie zaskoczyłeś mnie swoim zachowaniem. Gdy Bessie pisała do ciebie, wiedziałam, które jej pomysły mogą wywołać niepokój. Mój gniew we *Wschodzącym Słońcu* spowodowało twoje, powiedzmy sobie, niezbyt grzeczne podejście do problemu. Mam nadzieję, że daleki jesteś od tego, by traktować mnie jako oszustkę chcącą wyłudzić pieniądze od Bessie. Ona jest moją przyjaciółką i bardzo odpowiada mi jej towarzystwo. Czy mi wierzysz?

Popatrzył jej prosto w oczy, a ona spokojnie wytrzymała spojrzenie. Powoli, powoli jedwabiste nici zmysłowości, które odczuwali w sklepie, zaczęły ich oplatać. Tym razem jednak silniej. W takt bijących serc rosło pożądanie. Żar rozlewał się po ich ciałach, a zmysły pełne były pasjonujących obrazów wzajemnych pocałunków, mających zaspokoić wzbierające uczucie.

Robert uniósł rękę i drżącą dłonią dotknął ust Winter. Delikatna pieśczoła wywołała w niej dziwny dreszcz. Z jej gardła

wydobyło się ciche westchnienie.

– Wierzę ci – powiedział zduszonym głosem.

– Dziękuję – szepnęła.

– Dobranoc, Winter.

– Śpij dobrze, Robercie.

Wyszedł z domu, zamknąwszy drzwi z cichym trzaskiem. Winter stała nieruchomo. Wciągnęła powoli powietrze i przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków.

Była wstrząśnięta. Znów padła ofiarą męskiego magnetyzmu Roberta. Ciągle czuła pulsujący wewnątrz żar, natrętnie uświadamiający jej pożądanie.

Nie, myślała, nie ulegnę seksualnej agresji Roberta Stone'a. Nie chcę, aby raz jeszcze złamane serce rozbiło duszę na tysiące części. On jest tylko przechodniem i niebawem na zawsze zniknie z mojego życia i mojego świata. Nie uda mu się rozbić w proch tego, co budowałam przez tyle lat: muru chroniącego moje serce i duszę.

Obróciła się i skierowała w stronę kuchni. Bessie nadal siedziała przy stole, dłubiąc widelcem w swoim talerzu.

– Przepraszam, Winter – powiedziała Bessie. – Obiad się nie udał.

– Ależ nie! – odparła Winter, biorąc talerz. – Nic nie szkodzi. Odgrzeję w kuchence mikrofalowej. Daj, wezmę też twoją porcję.

– Przepraszam za to, co się stało – rzekła Bessie, obserwując Winter krzątającą się w kuchni. – To jest twój dom, twoja przystań, do której tak wspaniałomyślnie mnie zaprosiłaś. Na samą myśl o kłopotach, jakie ci sprawiłam, czuję się podle. Poszukam jutro wolnego pokoju w hotelu. Najlepiej będzie, jeżeli Bobby i ja wyjaśnimy sobie wszystko z dala od twego domu.

Winter wróciła do Stołu i postawiwszy dymiące talerze, opadła na krzesło.

– Proszę, zjedz swój obiad, Bessie. – Uśmiechnęła się i dodała po chwili: – Nie musisz przenosić się do hotelu. Jeżeli chcecie rozmawiać w cztery oczy, możesz się z nim spotkać gdzieś, zrozumiem to. Nie chciałabym, abyś przeprowadzała się z mojego powodu. Nawet tak nie myśl. Jesteś moją przyjaciółką i zależy mi na tobie. Moje zmartwienia wcale nie będą mniejsze, gdy zamieszkasz w hotelu „Chiricahua” czy gdziekolwiek indziej.

– Ach, dziękuję – odparła Bessie. – Chyba lepiej pójdę spać, a jutro zdecyduję, co z tym fantem zrobić. Na szczęście nie muszę przemyśliwać swoich ostatnich posunięć. Zamierzam, i od tego nie odstąpię, zmienić swoje życie. Bobby w końcu zauważy, że chcę czegoś nowego, i wróci do pracy, a ja poszukam sobie wtedy jakiegoś miłego lokum. Mam zamiar spędzić zimę na pustyni, w Tucson, a nie na Manhattanie. Nie wyprowadzę się stąd. Chcę mieć swoje własne miejsce, do którego będę mogła przyjechać,

odwiedziwszy przyjaciół w Nowym Jorku. Nie wrócę do tych wiecznych zebrań, akcji dobroczynnych i podobnych bzdur. Nadszedł mój czas i wykorzystam okazję, dopóki jestem pełna sił i entuzjazmu.

– Tak będzie lepiej dla ciebie – rzekła Winter, biorąc z półmiska następną porcję enchilado. – Twój Bobby nie jest szczęśliwym człowiekiem.

– Wiem – westchnęła. – Jest zupełnie jak jego ojciec: precyzyjny w swoich działaniach. Nie zawsze był taki. Jako dziecko cieszył się każdą nowością, której się nauczył. Był taki pełen miłości. Nie twierdzę jednak, że to się skończyło – dodała gwałtownie – ale w miarę upływu lat jest coraz bardziej poważny, może nawet posepny. Henry dużo wyjeżdżał i choć kochał Bobby'ego, i nie poświęcał mu nigdy wiele czasu, Bobby zaś, zamiast się buntować jak większość dzieci, starał się upodobnić do Henry'ego. Najwyraźniej chciał zwrócić na siebie uwagę ojca. Naśladował jego sposób mówienia, chodzenia i ostatecznie przejął jego pogląd na życie. – Po chwili milczenia Bessie dodała: – Mój syn jest wspaniałym człowiekiem, lecz czasem... czasem chciałabym widzieć u niego radość życia[^] jaką miał, kiedy był młodszy.

Obie kobiety siedziały w milczeniu.

– Mój Boże! – Bessie westchnęła. – Naprawdę nazwałam

swojego syna nadętym bufonem. Matka nie powinna chyba tak mówić. – Jej twarz pojaśniała. – Ale to prawda. W młodości nazywaliśmy takich sztywnych, twardych facetów palantami. „Nadęty bufon” może nie brzmi zbyt ładnie, ale przynajmniej nie powiedziałam, że Bobby to palant.

– W każdym razie, Bessie, osiągnęłaś swój punkt zwrotny. Weszłaś w to wszystko po to, by walczyć.

Jak ja się zachowuję?! – myślała Winter. Walczę z uczuciami, które wywołuje we mnie ten facet.

– Twój syn jest przekonany, że wrócisz do Nowego Jorku i do stylu życia, jaki tam wiodłaś.

– Odmawiam – powiedziała Bessie zdecydowanym głosem.

– Bobby jest... hm... niech będzie: jest naprawdę bardzo przystojnym mężczyzną. Jestem zaskoczona, że dotąd się nie ożenił.

– Och, zamierza to zrobić, gdy skończy czterdzieści lat.

– Żartujesz? – Winter szeroko otworzyła oczy. – Postanowił, że gdy skończy czterdziestkę, pożegluje gdzie trzeba i znajdzie kobietę, która padnie mu w ramiona, by spędzić z nim resztę życia?!

– Jaki jest jego plan. Oczywiście jest absurdalny, ale powiem ci szczerze: twoje postanowienie, że nigdy nie wyjdiesz za mąż, jest pewnie śmieszne. Przemyślałam to w zeszłym tygodniu przy

okazji naszej pogawędki. Nie można dyktować sercu, , co ma robić. Kiedy miłość nadejdzie, nic na to nie poradzisz.

– Nie, ja... nigdy. Może jeszcze herbaty?

– Nie, dziękuję. Nie będę się narzucać. Wiedz, że wysłucham cię zawsze, gdy będziesz chciała porozmawiać. Zdaję sobie sprawę, że jakiś mężczyzna okrutnie cię zranił, wykorzystując twoją do niego miłość, ale pomyśl: jesteś taka młoda, taka piękna, masz tak wiele zalet. Nie możesz pozwolić, by zmory przeszłości zawładnęły twoim życiem na zawsze.

– Ale ja jestem *para-ah-dee-ah-tran*, Bessie! Teraz! Może masz ochotę na herbatniki? Udały ci się naprawdę. Są fantastyczne.

Robert wyszedł spod prysznic. Wytarł się wielkim włochatym ręcznikiem, po czym nago pomaszerował do sypialni. Wzdychając ciężko, padł na królewskich rozmiarów łóżko i nakrywszy się do pasa, zamknął oczy.

Snu domagał się jego umysł. Chciał tylko spać.

Wraz z wkradającą się w umysł sennością pojawiła się wizja Winter Holt płynącej nad Robertem w delikatnej mgiele. Robert widział jasną twarz dziewczyny, słyszał jakby z zamglonej oddali jej czarujący śmiech. Zapach dzikich kwiatów drażnił jego zmysły, w następnej chwili zobaczył jej oczy wzburzone gniewem i jej jedwabistą skórę skrzącą się w przypiływie furii.

Potem jej obraz zmienił się; na jej twarzy, w jej I oczach dostrzegł pożądanie. Pożądanie, które wcześniej zauważył i które ogarnęło go również. Pożądanie, które nawet teraz, gdy leżał wycieńczony, rozpalało żar w jego ciele, pobudzało jego męskość.

– Do diabła! – powiedział przez zaciśnięte usta.

Obrócił się na brzuch, poprawił poduszkę i wreszcie zapadł w błogosławioną drzemkę.

Ostatnią zatartą myślą była pewność, że widział Winter Holt wcześniej.

Winter długo nie mogła zasnąć; o północy wstała z łóżka i stanęła przy oknie.

Rozsunęła luźno plecioną zasłonę i patrzyła na pustynię. Noc była jasna jak dzień. Błyszczący księżyc i gwiazdy rozświetlały niebo.

W powietrzu panował spokój, otoczenie emanowało jakimś łagodnym nastrojem, skrywając niebezpieczeństwa grożące każdemu, kto nie rozumiał pustyni, nie szanował jej. Ale dla Winter ten widok był prawdziwą ucztą. Ucztą dla jej umysłu i ciała. Delikatna poświata, chłód spływający z gór oraz cisza sprawiały, że spoglądając na naturalny krajobraz i widząc jego dostojeństwo, czuła się *para-ah-dee-ah-tran*.

Tej nocy było jednak inaczej. W głowie Winter kłębiły się

dźwięki i obrazy minionego dnia: Bessie zdecydowana przejąć kontrolę nad swoim losem; Robert energicznie wdzierający się w życie Winter, wytrącający ją z równowagi, onieśmielający ją.

Robert, myślała, taki przystojny, tak pięknie się śmieje, Uparty, stanowczy Robert, w którego dokładnie zaplanowanym życiu nie ma miejsca na przypadek ani na zrozumienie potrzeby niezależności jego matki.

Ten, jak go Bessie słusznie określiła, nadęty bufon rozbudzał namiętność zwykłym uśmiechem, spojrzeniem błękitnych jak niebo oczu. Prowokował jej kobiecość, jej uczucia, rozbudzał to wszystko, co Winter ukryła wiele lat temu. Był podniecający, intrygujący, owszem, lecz również przejmował lękiem.

Nagle poczuła się osłabiona, odwróciła się więc od okna i wśliznęła w pościel. Nim zapadła w sen, usłyszała raz jeszcze głos Roberta mówiący jej, że wygląda przyjaźnie, i pytający, skąd ją zna.

Przez resztę nocy spała niespokojnie, rzucając się i przewracając w pościeli; jej spokój duszy prysnął, przegnany przez senne mary.

Następnego dnia Robert obudził się w południe, odświeżony, wypoczęty i głodny. Wziął prysznic, ogolił się, założył luźne spodnie i koszulkę polo, po czym zszedł do hotelowej restauracji i

zjadł obfity smaczny lunch.

Kończąc kawę, zadawał sobie pytanie: co teraz? Był człowiekiem czynu, przyzwyczajonym wydawać polecenia, zwykle wypełniane sumiennie i bez sprzeciwu. Był pedantyczny w każdym calu i nie wierzył w zrządzenie losu. Sam ułożył sobie życie tak, jak chciał.

Oplówszy filiżankę palcami, oparł łokcie na stole. Patrzył zamyślony przez okno, ale tak naprawdę, to nie widział nawet majestatycznych gór w oddali.

Kochał swoją matkę, ale, do licha, nie chciał tego problemu. Bessie Stone była potrzebna w Nowym Jorku jako... w porządku, jako taka Bessie Stone, którą zawsze była.

Myślał też o Winter. Wywróciła go na drugą stronę, wypełniła jego sny, opanowała jego wyobraźnię po przebudzeniu. Tego problemu też nie potrzebował.

Wiec... co teraz?

Zawołał kelnera, uzupełnił rachunek hotelowy, po czym powoli udał się do olbrzymiego westybulu.

Winter – to słowo szumiało mu w głowie. Gdyby udało mu się przekonać ją, że Bessie powinna wrócić na Manhattan, miałyby w ręku same atuty. On i Winter razem będą nie do pokonania. Bessie przyzna, że postąpiła głupio, wróci z nim do Nowego Jorku i wszystko będzie jak dawniej. Gdy dwie przyjazne osoby

wytłumaczają Bessie, co powinna zrobić, podejmie decyzję w swoim mniemaniu dobrowolną, a jej honor będzie ocalony.

Wspaniały plan, powiedział sobie. Teraz następny przystanek: *Wschodzące Słońce*.

Gdy Robert wkroczył do sklepu, usłyszał brzęczący dźwięk, który uszedł jego uwagi podczas jego pierwszej „wizyty”. Zamknął drzwi i ujrzał rząd dzwoneczków przyczepionych do wąskiego skórzanego paska, wiszącego na drzwiach. Kiedy obrócił się w stronę wnętrza sklepu, Winter już stała za ladą.

– Cześć, Robercie – powiedziała. – Jak minęła noc?

– Dobrze. Właśnie wstałem. Zdążyłem tylko zjeść lunch.

Do diabła, myślał, zbliżając się do niej. Jest piękniejsza niż wczoraj. Czuł pulsujący w swym ciele dreszcz pożądania. Dzień wcześniej przypisałby to zmęczeniu, a dziś? Nie znał żadnego wyjaśnienia. Co ta kobieta z nim zrobiła?

Winter, patrząc na zbliżającego się Roberta, uświadomiła sobie, że czeka na jego przybycie, od kiedy otworzyła sklep. Był coraz bliżej, bliżej... tak blisko, że poczuła aromat wody po goleniu zmieszany z odświeżającym zapachem mydła. Jej serce biło jak szalone, gdy patrzyła mu w oczy tak błękitne, błękitne...

– Nie rozmawiałeś jeszcze z Bessie? – spytała, gdy stanął przed nią.

– Nie, nie szedłem do domu – odparł, patrząc jej w oczy. –

Chciałem wpierw zamienić parę słów z tobą.

– Och! Czy możemy przejść do magazynu? Zbliża się gorący sezon. Przyjeżdżają zimowi turyści, muszę więc stale doglądać nadchodzących transportów towarów. Nie mogę sobie pozwolić na odkładanie pracy na później.

– Nie ma sprawy. Chodźmy.

Przeszli krótki hol i znaleźli się w obszernym magazynie. Półki zajmowały całą wolną przestrzeń, na podłodze stały otwarte pudła. Po przeciwnej stronie widać było małe schludne biuro i łazienkę.

Robert patrzył na Winter podnoszącą fakturę z wierzchu pudła. Ubrana była w białą bluzkę ozdobioną na wysokości piersi szeregiem delikatnych drewnianych paciorków w różnych odcieniach błękitu. Wyglądała uroczo. Spodnie podkreślały wąską talię i smukłe biodra, a koraliki ściągały spojrzenie Roberta na jej piersi. Gdy tylko poczuł rosnące podniecenie, przeniósł wzrok na pudło.

Winter wyciągnęła małą czarną miseczkę z opakowania, postawiła na półce i oznaczyła na fakturze wyciągniętym z za ucha piórem.

– Masz niewiarygodnie piękne włosy – Robert usłyszał własny głos.

Zorientował się, że głośno myśli. Potrząsnął głową. Winter spojrzała na niego.

– Dziękuję. O czym chciałeś ze mną rozmawiać?
Przypuszczam, że tematem będzie twoja matka?

Uniósł czarękę, którą Winter umieściła na półce i która miała pomalowane na szaro nacięcia. Część naczynia pomalowana na czarno była błyszcząca i gładka. Kolor szary okrywał miejsca o ziarnistej, szorstkiej powierzchni.

– Ciekawy wyrób – powiedział Robert. – Nie widziałem nigdy czegoś takiego.

– To naczynie wykonane przez Indian z Santa Clara. Nie ma dwóch identycznych. Tracą godziny, szlifując ręcznie ich powierzchnię na wysoki połysk, co powoduje, że czarno-szare naczynia z Santa Clara są bardzo drogie. Ludzie biorą je dla ich piękna, czasem traktują zakup jako inwestycję w dziedzinie zachodniej sztuki.

– Chyba kupię jedną. Czy są jeszcze inne rozmiary lub kształty?

– Tak, cała dostawa jest z Santa Clara. – Uśmiechnęła się. – Jeżeli chcesz w to zainwestować, muszę ci opowiedzieć o detalach. Pierwotnie miski są czerwone. Aby osiągnąć efekt czarno-szary, wypala się dodatkowo tak długo – roześmiała się – jak długo płonie owcze łajno.

Robert zrobił zdziwioną minę.

– Co?

– To prawda. Widziałam, jak to robią. Pokrywają ognisko owczymi bobkami.

– Świetnie – powiedział, odkładając miskę na półkę. – Już widzę siebie w apartamencie na Manhattanie, pytającego znajomych, czy widzieli moją miseczkę wypaloną w owczych bobkach.

Roześmiała się ponownie. Nagle uśmiech zniknął z jej twarzy, gdyż zobaczyła w oczach Roberta ślepą żądzę. Zbliżył się do niej i wpatrzony w jej oczy, wolno uniósł ręce i ujął jej twarz.

Odczuła najdziwniejsze wrażenie, że całe jej życie wiruje, stając się w środku cieńsze i cieńsze do czasu, gdy zostało już miejsce tylko na jedną wizję, jeden cel, dla którego tu była.

Robert Stone i pocałunek, który był tak blisko, to były powody jej egzystencji, jej tak długiej podróży samotnymi, bolesnymi drogami. Wszystko prowadziło do tego jednego momentu wykradzonego ze strumienia czasu. Było własnością jego, jej – ich obojga.

Nie, pomyślała, nie rób tego.

N i e, powiedział w duchu Robert, nie rób tego.

Schylił głowę i przywarł swoimi ustami do jej ust, rozwierając jej wargi i wsuwając między nie język. Objęła ramionami jego szyję, oddała pocałunek. Ich zmysły wypełniły się smakiem i aromatem rozkoszy, namiętnością gorejącą w ich sercach.

Nigdy wcześniej Winter nie doświadczyła takiego uczucia. Pocałunek wywołał w niej fizyczną i emocjonalną eksplozję, jakiej dotąd nie знаła. To była ekstaza. I to wprawiło ją w ogromny niepokój.

W głowie Roberta kłębiły się myśli; jedne – domagające się, aby natychmiast przestał całować Winter, bo może ją stracić; inne – by poszedł dalej, by kochał się z tą piękną kobietą całkowicie mu uległą.

Zwyciężył rozsądek. Uniósł głowę. Westchnął ciężko, opuścił ręce i odsunął się o krok.

– Wydaje się, że masz zdolność rzucania uroku na rodzinę Stone'ów.

Przelotny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Nie jestem szamanem, Robercie.

– Naprawdę? – zapytał, patrząc prosto w jej ciemne oczy. – Może odziedziczyłaś po swoich indiańskich przodkach coś więcej niż tylko niespotykaną urodę?

Dobry Boże! Winter, co ty ze mną wyprawiasz? Kiedy jestem z tobą, myślę tylko o tym, żeby cię trzymać w ramionach, całować... Pragnę cię, chcę się z tobą kochać. .. Jestem pewien, że o tym wiesz doskonale.

– Tak – wyszeptała. – I chcesz mnie?

Chwilę wahała się, w końcu skinęła głową.

– Tak. Tak, chcę cię, ale nie zamierzam tego kontynuować. Nie interesuje mnie szybki romans, Robercie. Choćbym była nie wiem jak atrakcyjna dla ciebie, w końcu zignorujesz mnie i wyjedziesz, zostawiając wszystko w pyłe drogi. Myślę, że jasno wyrażam swoje obawy? – Przerwała. – Dlaczego chciałeś widzieć się ze mną przed spotkaniem z matką?

– Dobrze, odebrałem wiadomość. Zostawmy na razie to, co jest między nami... czymkolwiek to jest. Spróbuję skoncentrować się na problemie mojej matki. Potrzebuję twojej pomocy, naprawdę. Proszę, abyś stała po mojej stronie, gdy będę namawiał matkę do powrotu. W Nowym Jorku zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby zgodziła się pójść do psychiatry. Mam nadzieję, że fachowa opieka uchroni ją od tego rodzaju wyczynów.

Winter popatrzyła na niego skupionym wzrokiem.

– Nie mówię, że jest wariatką – ciągnął. – Jest po prostu ofiarą splotu okoliczności. Utrata męża i raczej podeszły wiek spowodowały ten bałagan. Dobry psychiatra lub terapeuta pomoże jej zrozumieć, dlaczego, że tak powiem, uciekła z domu. Wiesz już, o co chodzi. Stworzymy połączony front, ty i ja, moja matka zaś zgodzi się wrócić ze mną do domu. Czy mi pomożesz?

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, w końcu Winter wypowiedziała tylko jedno słowo:

– Nie.

Zdziwienie i oburzenie wystąpiły na twarzy Roberta.

– Dlaczego nie? Boże! Winter, ty na pewno pojęłaś, że matka nie zachowuje się normalnie. Jeżeli jesteś jej przyjaciółką, a za taką się uważasz, powinnaś zrobić wszystko, żeby zapewnić jej powrót do normalnego trybu życia, który, jak dotąd, sprawiał jej radość!

– Jestem jej przyjaciółką i całkowicie popieram jej poszukiwania niezależności, jej ochotę poznawania, uczenia się nowych rzeczy. Ona chce nie tylko patrzeć, ale i widzieć. Życie na Manhattanie nie spełnia jej wymagań. Bessie z pewnością nie wróci do pokoju jak nieposłuszne dziecko, dlatego tylko, że chcesz tego dla swej wygody. Twoje rozumowanie jest samolubne i ograniczone. Nie jesteś w stanie zaakceptować nawet najmniejszych zmian w swoim życiowym planie. Nie, nie pomogę ci, Robercie, ani trochę.

– Poczekaj jedną cholerną mi...

– I Bessie miała rację. Jesteś nadętym bufonem. A teraz proszę mi wybaczyć, panie Stone, mam towar do rozpakowania.

– Dobrze. Rób, jak uważasz. Troszcz się o swoje wypalone w owczych bobkach naczynia. Muszę powiedzieć jasno i wyraźnie, panno Holt: Bessie Stone wyprowadza się do Nowego Jorku.

– A pan może wyprowadzić się do diabła!

Rozdział 3

Ostatnie godziny pracy wlokły się w ślimaczym tempie. Winter była niemal pewna, że zarówno zegar ścienny w sklepie, jak i jej prywatny ręczny popsuły się.

Za każdym razem, kiedy chciała zadzwonić do Bessie, rezygnowała w momencie trzymania uniesionej słuchawki.

Możliwe, że właśnie trwa potyczka słowna między Bessie a Robertem, że akurat matka „zmiękcza” syna i przekonuje go do swoich racji. Nawet jeżeli ich dyskusja jest bezowocna, ona, Winter, nie chce im przeszkadzać.

Co się dzieje w domu? – zastanawiała się Bóg wie jak długo. Czy Robert wrzeszczy, a Bessie płacze? Czy Robert ustępuje choć trochę? Czy Bessie robi postępy? Czy Robert Stone przy najbliższej okazji porwie Winter Holt w swoje ramiona i będzie całował tak namiętnie, jak to robił parę godzin temu? Miała nadzieję, że tak będzie; chciała tego bardzo...

Winter przerwała czyszczenie szklanej ściany lady. Wyprostowała się i stojąc z miękką ściereczką w jednej ręce i sprayem do czyszczenia szkła w drugiej, patrzyła nieprzytomnym wzrokiem przed siebie.

Zaatakowały ją wspomnienia pocałunku Roberta. Poczowała żar rozlewający się po całym ciele. Jej policzki płonęły, serce biło jak

oszalałe, a ciałem wstrząsały dreszcze. Jakby oglądając film we własnym umyśle, ujrzała zmysłową scenę w magazynie, klatka po klatce, aż do...

– A pan – szeptała – może wyprowadzić się do diabła. Z trudem wróciła do rzeczywistości i zabrała się do czyszczenia kontuaru. Szkło aż skrzypiało pod szmatką, gdy z mściwą pasją usuwała nie istniejący kurz z dopiero co wyczyszczonego fragmentu lady. A pan, słyszała wciąż, może się wyprowadzić... O Boże! To słowa wyjęte z ust Scarlett O’Hara. Robert wyszedł ze sklepu, najwyraźniej zdenerwowany.

Co za przedstawienie! – myślała z niesmakiem. Dała się ponieść złości i w efekcie wykrzyczała najcudowniejszemu pod słońcem mężczyźnie, że może iść do diabła. Cudownie!

Drzwi otwarły się z brzękiem dzwoneczków i do sklepu weszła Siki.

– Witaj, Winter – powiedziała. – Żegnaj, Winter.

– Dzień dobry i do widzenia. Rozpakowałam i ometkowałam towar z Santa Clara. Część jest w pierwszej szufladzie kontuaru, reszta w magazynie.

– W porządku.

Siki rozejrzała się wokół.

– Gdzież jest wspaniały Robert?

– Och, naprawdę nie wiem – rzekła Winter nonszalanckim

tonem. – Może być wszędzie: w domu z Bessie, w hotelu, w... Zabij mnie, ale nie wiem. Nie myślałam o nim dzisiaj ani razu. Skąd na twoim obliczu taki chytry uśmieszek?

– Ponieważ jesteś podniecona, panno Winter Holt – odparła Siki, promieniejąc radością. – Nie widziałam cię takiej, odkąd cię znam, a to parę ładnych lat. Wspaniały Robert zawładnął tobą.

– Z pewnością nie. – Winter pomaszzerowała za ladę i w małej szafce schowała przybory do czyszczenia. – Cięża źle wpływa na pracę twojego mózgu, Siki. A skoro o tym mówimy... Jak dziecko?

– Kopie. Może trochę nazbyt intensywnie. Ale nie zmieniaj tematu. Co stałoby się złego, gdybyś związała się z Robertem Stone'em? Przez cztery lata, odkąd wróciłaś do Arizony, angażowałaś się co najwyżej w niewinne flirty. Masz duże zaległości, jeżeli chodzi o...

Winter obróciła się i stanęła przed Siki.

– Nie. Nie chcę, żeby Roberta i mnie coś łączyło.

– Dlaczego nie?

– Po pierwsze, nie interesuje mnie, jak to nazywasz, wiązanie się z Robertem; po drugie, nawet gdyby, to i tak nie jest on właściwym dla mnie człowiekiem. Przyjechał tu na krótko po swoją niesforną matkę. Poza tym zbytnio się różnimy. On trzyma się sztywno swoich dróg, ma życie ułożone według planu, od

którego nie zamierza odstąpić.

– Czy dobrze całuje?

– Jak marzenie – stwierdziła tęsknym głosem. Potrząsnęła głową i chrząknęła. – Nieważne, Siki. Dość tego. Będę ci wdzięczna, jeśli powstrzymasz się od wspomniania Roberta Stone’a.

– Nie wiem, jak to zrobić – powiedziała Siki, śmiejąc się radośnie. Poklepała się po brzuchu. – Gdybym się powstrzymywała, nie wyglądałabym, jak gdybym połknęła wielkiego arbuza.

– O Boże! – jęknęła Winter.

Drzwi otworzyły się i do środka weszły dwie kobiety. Siki zajęła się klientkami, a Winter opuściła sklep. Jadąc do domu, powtarzała sobie: zapomnij o Robertcie Stonie. Gdy jednak zobaczyła jego samochód zaparkowany na podjeździe, jej serce zabiło szybciej.

Pamiętała, że podczas ostatniej rozmowy wysłała go do diabła, toteż nie spieszyła się zanadto. Powoli wyszła z samochodu. Czym ja się przejmuję? – myślała. To w końcu mój dom i jeżeli Robertowi nie odpowiada moje towarzystwo, to nikt go nie będzie zatrzymywał siłą.

Gdy pojawiła się w pokoju dziennym, Robert zerwał się z sofy. Ich spojrzenia się spotkały. Stała, czując nagle dziwne drzenie

nóg. Spróbowała uśmiechnąć się, lecz od razu wiedziała, że była to klęska.

– Cześć, Robercie! – powiedziała.

– Moja matka jest w kuchni. Powiem ci jeszcze jedno: płakała. Używaliśmy iście diabelskich argumentów. – Wzdrygnął się. – Chcesz coś wiedzieć? Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby moja matka płakała. I to ja jestem przyczyną jej łez. Jestem pewien, że płakała po śmierci ojca, lecz robiła to w samotności; nikt jej nie widział. A dziś... O Boże!

– Och! Robercie – powiedziała Winter czułym głosem – przykro mi. Czy dogadaliście się jakoś, doszliście do kompromisu?

Potrząsnął głową przecząco.

– Nie. Uparła się zostać tutaj. Czuję, że powinna wrócić do domu. Jesteśmy w impasie.

– No cóż... W porządku. Pójdę sprawdzić, jak się czuje.

– Będę ci wdzięczny. Sądzę, że jestem ostatnią osobą, którą chciałaby teraz ujrzeć. Nie mogę w to uwierzyć. Sprawilem, że moja własna matka płacze. – Wsunął rękę do kieszeni i odwrócił się od Winter.

Patrząc na niego, zauważyła prostą linię barków; to efekt sztywności postawy, świadczącej o dobrej kondycji. Nagle zapragnęła podbiec do niego, objąć go i ukoić. Rozstrój, który

spowodował u matki, był mu tak obcy, a widok łez Bessie – tak męczący, że w mgnieniu oka stracił całe swoje opanowanie, swoją siłę.

Uniosła rękę, jak gdyby chciała go dotknąć, po czym westchnęła i ruszyła do kuchni.

Bessie siedziała przy stole z rękami na kolanach i patrzyła na pustynię. Za oknem szybko zapadał zmrok. Jaskrawe barwy zachodu mieszały się, stapiając ze sobą niczym w olbrzymim piecu.

– Bessie? – zaczęła Winter z nutą niepewności w głosie. Usiadła obok i zauważyła, że starsza pani ma podpuchnięte oczy i zaczerwieniony nos. – Och, Bessie.

– Dlaczego? – zapytała Bessie, nie odwracając głowy. – Dlaczego rozwijamy się, zmieniamy, odkrywamy, kim jesteśmy naprawdę?... Dlaczego to wszystko powoduje ból i gniew w kimś takim jak Bobby?

– Nie wiem – powiedziała Winter. – Może dlatego, że wolałby nigdy tego nie robić. Nie potrafi poradzić sobie z niczym, co odbiega od jego planu. Jest bardzo zmartwiony tym, że spowodował twój płacz.

– Tak, zdaję sobie sprawę. – Bessie popatrzyła na I Winter. – Moje łzy po prostu nagle popłynęły i nie potrafiłam ich powstrzymać. To wszystko jest tak niewiarygodnie smutne.

Proszę Bobby'ego, żeby zaakceptował mnie jako osobę, którą chcę teraz być, a on odmawia. Mam być Bessie Stone z Manhattanu i robić to, co dotychczas. Mój własny syn patrzy na mnie jak na zupełnie obcą osobę. – Uśmiechnęła się lekko. – Stara, niedołączna kobieta, jakiej dotąd nie znał. – Jej uśmiech zniknął, a w oczach stanęły łzy. – Och, Winter, to bardzo smutne.

– Czy... czy zdecydowałaś ostatecznie, co zrobisz?

– Powiedziałam Bobby'emu, że zostaję w Tucson na zimę. I tak będzie. Przeczuwam, że jeżeli poddam się teraz, nigdy więcej nie będę miała takiej okazji postawienia na swoim. Jestem wstrząśnięta niepokojem, jaki wywołałam u Bobby'ego, ale teraz nie mogę przerwać. Muszę kontynuować to, co zaczęłam. Nie ma innego wyjścia, Winter.

– Rozumiem, Bessie, naprawdę to rozumiem.

– Mój chleb pita okazał się klęską. Zostało jeszcze enchilado z wczoraj. Będziemy musieli zjeść je na obiad. Zastanawiam się, czy Robert będzie chciał zjeść z nami.

– Włóż enchilado do kuchenki mikrofalowej, a ja pójdę zapytać Roberta, czy się do nas przyłączy.

Bessie kiwnęła głową i wstała.

– Tak cię strasznie zadręczam. Opowiadałaś mi o uroczych spotkaniach z twoimi rodzicami tu lub w ich domu w Flagstaff. A teraz mieszkasz z prawie obcą osobą, która z jednej strony próbuje

ci matkować, a z drugiej zamienia twój spokojny dom w pole walki.

Winter wstała.

– Nie chcę dłużej tego słuchać, Bessie. Jesteśmy przyjaciółkami, a to zobowiązuje nas do tego, abyśmy były przy sobie na dobre i na złe. Przetrywamy tę burzę. A teraz, jeżeli nie chcesz, żebym padła z głodu, podgrzej enchilado. Pójdę pomówić z Robertem o obiedzie.

Gdy Winter, trzymając ręce w kieszeniach, wróciła do pokoju dziennego, Robert ciągle jeszcze stał przy oknie. Zatrzymała się na środku pokoju.

– Robercie – powiedziała – zamierzamy dokończyć wczorajsze enchilado. Czy zjesz z nami?. – A co się stało z chlebem pieprzowym czy jak mu tam?

– Pierwsza próba była nieudana, ale jestem pewna, że Bessie się nie podda. Spróbuje jeszcze raz i jeszcze, aż do skutku.

– To sprytne, Winter – powiedział, odwracając twarz w jej stronę. – Chytra, podświadoma informacja, mająca wbić mi do głowy, że matka dopnie swego nawet po trupach.

– Och, na Boga – rzekła Winter, opierając ręce na biodrach. – Dość tego, Robercie. Jesteś dorosłym człowiekiem, masz swoje własne bujne życie, a zachowujesz się jak dzieciak, który dowiedział się, że musi pójść do przedszkola, bo jego mama

zdecydowała się wziąć dodatkową pracę i nie może zostać z nim w domu. Chcesz, żeby Bessie siedziała w Nowym Jorku i nie zakłócała twojej zaprogramowanej egzystencji. Jesteś bardzo nie w porządku, Robercie. Jesteś rzeczywiście zarozumiałcem.

– Nie prosiłem cię o opinię – odparował, mrużąc gniewnie oczy.

– Aleją usłyszałeś, ważniaku. – Po chwili milczenia wciągnęła głęboko powietrze, hamując emocje. Kiedy odezwała się znowu, jej głos brzmiał już delikatniej. – Robercie, co widziałeś, patrząc przez okno?

Zmarszczył brwi, zmieszany.

– Co widziałem? Nic. Byłem zbyt zamyślony, by kontemplować otoczenie.

– I przegapiłeś wspaniały zachód słońca. Już nigdy nie będzie takiego samego zachodu; każdy z nich jest specyficzny, niepowtarzalny. Przegapiłeś to i nie będziesz miał drugiej okazji. Nie potrafiłeś dostrzec piękna chwili i straciłeś to na zawsze.

– Po co to kazanie? Jestem pewien, że masz w tym jakiś cel.

– Owszem, Robercie, chcę ci uświadomić, że Bessie zdaje sobie sprawę, jak ważne jest dostrzeganie chwili. Ona wie, że jeżeli teraz przerwie swoje poszukiwania nowego życia, straci jedyną, ostatnią okazję.

– Ona jest zbyt stara, by samotnie rzucać się w wir nowych

przygód. Zostałem uznany za gbura, tępaka i... zarozumialca. Czy dotarło do ciebie, że zamierzam ją chronić?

– Chronić, ale nie zakłócając swojego ustalonego porządku życia?

Przejechał ręką po włosach.

– Tak ci łatwo wziąć stronę matki, namawiać ją, ale ty jesteś bezpieczna. Masz dom, sklep. Nie widzę ciebie rzucającej to wszystko – wykonał nieokreślony ruch ręką – i zaczynającej w zupełnie innym miejscu.

– Dokładnie tak było, kiedy... – Przerwała i uniosła podbródek.

– Nieważne. Nie o mnie dyskutujemy.

Popatrzył na nią, zaskoczony. Co chciała powiedzieć? – zastanawiał się. Zaczynała od nowa? Kiedy? Gdzie?

– Robercie – powiedziała, wyrywając go z zamyślenia. – Jestem pewna, że słyszałeś o Cochisie. Był on wodzem Apaczów Chiricahua.

– Tak, oczywiście.

– W 1871, kiedy wojsko chciało przenieść Cochise'a i jego ludzi do rezerwatu, powiedział: „Chcę żyć w tych górach... Piłem wodę z tych strumieni i ona mnie chłodziła. Nie chcę stąd wyjeżdżać”. To właśnie mówi twoja matka. Zasłużyła na szansę i powinna wreszcie korzystać z prawa do odnalezienia samej siebie i wewnętrznego spokoju, właśnie tu, na tej pustyni otoczonej

górami.

– Nie. Ona będzie tu samotna. W Nowym Jorku ma wielu przyjaciół. Wiem, że są tam ludzie, którzy zaopiekują się nią podczas mojej nieobecności. Nie mogę siedzieć cicho, widząc, jak moja matka naraża się na niebezpieczeństwo. Nie mogę i nie chcę.

Winter splotła ręce na piersiach i by wyrazić swój gniew, zachichotała kpiąco. Patrzyła na Roberta przez dłuższą chwilę, po czym rozłożyła ręce.

– Dawno nie spotkałam tak upartego człowieka – powiedziała.

– Jesteś uparty, uparty, uparty.

Ku jej zaskoczeniu wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Taak – odparł, śmiejąc się jeszcze bardziej – ale za to sympatyczny.

– Na pewno nie – powiedziała Winter i wybuchła śmiechem.

Nie była pewna, dlaczego się śmieje. Może dlatego, że nazywając go upartym, upartym, upartym, wyobraziła sobie siebie jako sześciolletnią dziewczynkę tupiącą nogami i pokazującą język; a może dlatego że Robert był wręcz niewiarygodnie wspaniały; albo dlatego że śmiechem dała mu do zrozumienia, jak niepoważnie traktuje jego deklarację, choć w głębi duszy była pewna, że Robert nie kłamie.

Winter naprawdę nie wiedziała, co skłoniło ją do śmiechu, lecz kiedy zaczęła, nie mogła się powstrzymać.

O Boże, myślał Robert, nie byłoby dziwne, gdyby Winter rzuciła czymś we mnie albo wyprosiła mnie z domu. Nie spodziewał się wybuchu śmiechu, radosnego, porywającego śmiechu. Poczuł dreszcz pożądania i ciepło rozlewające się po ciele.

– Dość tego! – powiedziała w końcu. – Tracę już oddech. Czy chcesz zjeść z nami wczorajsze enchilado?

– Oczywiście. Enchilado byłoby doskonałe, tylko... nie jestem pewien, czy matka wytrzyma dzisiaj mój widok.

– Chodź. – Winter obróciła się i ruszyła do kuchni.

Gdy znaleźli się na miejscu, ujrzeli nakrycia przygotowane dla trzech osób i Bessie wnoszącą do części jadalnej półmisek pełen parujących enchilado.

– Robert zje z nami, Bessie – powiedziała, Winter i obrzuciła swych gości srogim spojrzeniem. – Ale nie życzę sobie żadnych poważnych rozmów przy stole. Pogawędzimy sobie o tym, o czym ludzie zwykli gawędzić w takich chwilach.

– Tak – przytaknęli zgodnie Bessie i Robert. Obiad przebiegał w zadziwiająco miłej atmosferze.

Żywo dyskutowali na wiele ciekawych tematów. Robert opowiedział Bessie o „owczych czarkach” sprzedawanych we *Wschodzącym Słońcu*. Winter delikatnie stuknęła go w ramię, po czym wyjawiała Bessie stosowany przez Indian z Santa Clara

proces wypalania miseczek.

– Na miłość boską – powiedziała Bessie – czyż to nie fascynujące? Tak wiele możemy nauczyć się od Indian: wykorzystywania zasobów naturalnych, cierpliwości i... Zresztą, jestem doskonałym przykładem.

Właśnie podgrzałam enchilado w nowoczesnej, szybkiej i łatwej w obsłudze kuchence mikrofalowej.

– Nie przejmuj się, Bessie – powiedziała Winter śmiejąc się. – Ja też mam w sklepie małą mikrofalówkę, której używam do kawy, herbaty lub odgrzewania przynieszonego z domu śniadania.

– *Wschodzące Słońce* – powiedział Robert. – Podoba mi się ta nazwa. Rozumiem, że powinna kojarzyć się ze wschodami słońca na pustyni.

– Niezupełnie – powiedziała Winter. – W języku Apaczów zwrot ten znaczy również: „walczący człowiek”. Apacze Chiricahua znani są również jako lud *wschodzącego słońca*, czyli walczący, wojowniczy naród. Nazwa sklepu to pewnego rodzaju hołd złożony moim przodkom. Mój ojciec był biały, matka natomiast pełnej krwi Apaczką. Kocham ich bardzo, tak jak kocham obydwie środowiska, w których przyszło mi się wychować. Nigdy nie czułam piętna mieszańca czy jak to nazwać? Byłam szczęśliwa z wyjątkiem okresu, gdy... Ale to już minęło.

– Gdy co? – zapytał Robert. – Jakie zmartwienie spotkało cię w przeszłości?

– To nieważne. – Odwróciła wzrok w Stronę Bessie. – Czy zostały jeszcze jakieś ciasteczka?

– Wystarczy dla wszystkich – rzekła Bessie podnosząc się. – Pójdę po nie.

Do licha, myślał Robert, patrząc na Winter. To był o ważne. Było w przeszłości coś, co uczyniło ją nieszczęśliwą. Widział przebłysk bólu w jej pięknych oczach. Otaczał ją jakiś duch tajemniczości, poza tym wróciło odczucie, że gdzieś wcześniej ją widział. Nie podobało mu się, że ktoś lub coś mogło ją zranić.

Zjedli ciasteczka do ostatniej kruszynki. Bessie obiecała upiec jeszcze jeden wspaniały deser następnego dnia, po czym wypłoszyła Roberta i Winter z kuchni, twierdząc, że będą jej przeszkadzać w sprzątaniu.

Winter wyszła do przylegającego do kuchni patio. Wybetonowany plac, otoczony półtorametrowej wysokości ścianą z suszonej cegły, miał mniej więcej sześć metrów długości i sześć szerokości. Wewnątrz stały meble wyściełane batysem oraz stół z parasolem zapewniającym cień i ochronę przed palącym letnim słońcem.

Winter, przeszedłszy patio, zniknęła w mroku niczym połknięta przez noc. Robert zatrzymał się na skraju kręgu blasku sączącego

się z kuchni.

Jego serce zabiło szybciej, gdy patrzył w ciemność poza wyraźną granicę światła. Czuł się dziwnie zdezorientowany, jak gdyby stał na krawędzi jakiejś niesamowitej Strefy Mroku. Miał wrażenie, że jeśli postąpi krok dalej, jego los zmieni się nieodwracalnie.

Obróć się, Stone – usłyszał znajomy wewnętrzny głos, głos, którego zawsze słuchał. Wracaj do domu, tam jest bezpiecznie. Wracaj... wracaj... wracaj...

Nagle w jego umyśle odezwał się inny głos, dotąd mu nie znany. Nie potrafił określić jego źródła; głos koił zmieszanie, łagodną pieśczętą sięgał samego dna serca i duszy.

Idź naprzód, Winter czeka. Winter jest tam, w ciszy nocy. Piękna Winter... Winter... Winter...

Robert opuścił świetlny krąg i zanurzył się w mroku.

Zatrzymał się znów. Mrugając starał się przyzwyczaić oczy do nagłej ciemności. Po chwili przejrzał. Zobaczył srebrną tarczę księżycą i błyszczące na niebie gwiazdy. Zobaczył też obracającą się w jego stronę Winter. Z bijącym gwałtownie sercem zbliżył się do niej.

Ich oczy spotkały się i znów oplotła ich, teraz już przyjazna, zmysłowa przedza namiętności, rozpalając pożądanie, ogarniając potrzebę bliskości płonąca w ich sercach.

– Robercie – powiedziała miękko i niepewnym głosem. – Ja nie...

– Css – uspokoił ją. – Nie skrzywdźcie. Nikt już nigdy cię nie skrzywdzi.

Chwyił ją w ramiona i pocałował. Z niecierpliwością wdarła się w jego usta, zarzuciła mu ręce na szyję, przywarła do niego, chłonąc wszystkimi zmysłami jego smak i zapach, rozkoszując się bliskością jego masywnego ciała. Jej piersi zgniecione były w słodkim bólu, który nagle przeszedł w tęsknotę, tęsknotę za uspokajającym komfortem jego rąk i ust.

Potem pocałunek stał się głębszy, jakby spragniony, natarczywy. Ich serca zapłonęły wszechogarniającą namiętnością.

Robert odsunął głowę o kilka centymetrów.

– Chcę być z tobą... tak cholernie mocno chcę – wyszeptał. – Nigdy nie czułem się tak... Nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego... Do licha! Winter Holt, co ty ze mną robisz? Jakie czary na mnie rzuciłaś?

Potrząsnęła głową. Chciała się odsunąć, ale trzymał ją mocno.

– Jesteś czarownikiem, Robercie – powiedziała. – Nie mogę zebrać myśli, kiedy mnie dotykasz. Nie chcę tego... – chociaż... Sama nie wiem... Nie mam zamiaru drażnić cię. Nie chciałabym, abyś uwierzył, że pragnę... Nie. – Jej głos nabrał pewności. – To musi się skończyć. Puść mnie.

– Czego się obawiasz?

– Robercie, pozwól mi odejść.

– Nie. Wysłuchaj mnie. Proszę, Winter, posłuchaj choć przez chwilę. Wiem, czego się obawiam, i nie wstydę się przyznać do tego. Kiedy jestem przy tobie, gdy się śmiejesz, cieszysz, nawet gdy złościsz się na mnie, dzieje się ze mną coś dziwnego. A gdy dotykam cię, całuję, jestem zupełnie stracony. Moje życie jest dokładnie zaplanowane, ale ty niszczysz ten plan, rozbijasz w pył. Nie wiem, jak się z tym pogodzić. Kobieto, przerażasz mnie śmiertelnie.

Winter wymknęła się z jego objęć i odsunęła o parę kroków. Z trudem opanowała drżenie. Echa wcześniejszej rozmowy jakby naigrawały się z niej.

Jesteś uparty, uparty, uparty...

Tak, ale za to sympatyczny...

Sympatyczny...

– Nie – rzekła, potrząsając głową. – Nie jesteś sympatyczny. Nie zakocham się w... Nie.

– Co? – Spojrzał na nią zdziwiony. Odwróciła wzrok, przerażona tym, co powiedziała.

– O Boże! – mruknął Robert. Przetarł dłonią twarz. – Tylko nie to. Boże, Winter, my chyba nie zakochaliśmy się w sobie? A może tak?

– Na miłość boską! – Winter niespodziewanie wybuchnęła gniewem. – Skąd mam wiedzieć? Nie jestem fachowcem od tego. Ale wiem jedno: nie podoba mi się to wszystko. I na pewno, Robercie, na pewno nie zakocham się w tobie.

– Dlaczego? – zapytał przekornie, rozgniewany jej słowami. – Co jest we mnie niewłaściwego? Czy jestem trędowaty? Albo „nie przystosowany do społeczeństwa? Czuję się urażony twoją postawą. – Mrugnął. – Co ja robię? Dlaczego właściwie się bronię? Ja też nie chcę zakochać się w tobie. Nie doczekanie twoje, laleczko!

~ Co za nikczemność! Jeżeli raz jeszcze nazwiesz mnie laleczką, rąbnę cię prosto w nos! Trzeba ci wiedzieć, Robercie, że dziesiątki mężczyzn oddałoby wszystko dla... No, może nie dziesiątki, ale przynajmniej kilku... Dobrze, było ich dwóch... Och, zostaw mnie samą. To najgłupsza rozmowa w całym moim życiu.

– Rzeczywiście, cacko – powiedział Robert. – Nieoczekiwanie zaczyna nabierać sensu. Jeżeli ktoś we właściwy sposób gromadzi dane, może później analizować informacje w logiczny, uporządkowany sposób.

– Och, zamknij się! – przerwała, zdenerwowana. – Znowu mówisz jak jakiś bufon.

– Zignoruję to, Winter. Uważam, że uczucie między dwiema

osobami jest powolnym procesem i dlatego między nami nie może zaistnieć. Z drugiej strony znam kilku przyjaciół, którzy zadurzyli się tak szybko, że nawet tego, biedacy, nie zauważyli.

– Budzisz obrzydzenie.

– To też zignoruję. Musimy zdać sobie sprawę, że miłość, pomimo iż żadne z nas jej nie chce, tylko czeka na chwilę naszej słabości. Dlatego trzeba zachować maksimum ostrożności. Nie wyjadę z Tucson bez matki; musimy więc być czujni. – Krążył po patio tam i z powrotem. – Nigdy wcześniej nie mówiłem o swych tak osobistych uczuciach. Stałem wobec problemu, który różni się zasadniczo od moich codziennych problemów związanych z biznesem. Na pewno mogę tym pokierować. Do diabła, dlaczego nie?

Dlaczego nie? – przebiegło Winter przez głowę. Jasne, nie możemy się zakochać. Ale dlaczego nagle poczuła się tak pusta, zimna, jak gdyby lód pokrył jej serce i chciał pochłonąć także i duszę? Dlaczego czuła w oczach łzy, dlaczego ściśnięte gardło nie pozwalało jej nic powiedzieć?

– Winter – powiedział Robert, przyciągając na powrót jej uwagę – czy rozumiesz, jaka jest twoja rola? Co oboje mamy zrobić? Nie pozwól, by uczucie opanowało cały twój umysł. Jeśli powiesz sobie, że nie chcesz zakochać się we mnie, to na pewno tak będzie, i zdusimy wszystko w zarodku. Pojmujesz?

– Och, tak, oczywiście. Dobranoc.

Ruszyła do, domu. Robert przyglądał się jej z zadowoloną miną.

Znów trzymam ster, powiedział sobie. Wszystko jest pod kontrolą. Boże, jestem niezły. Co za wspaniały umysł! W tak poważnym problemie umiem znaleźć proste rozwiązanie.

Jego entuzjazm szybko ustąpił miejsca dezaprobowaniu.

Nie rozumiał, dlaczego znienacka poczuł się tak cholernie przybity i samotny.

Rozdział 4

Winter otworzyła oczy, przeciągnęła się leniwie i z zadowoleniem uświadomiła sobie, że jest sobota i nie musi pracować we *Wschodzącym Słońcu*. Umówiła się z Siki, że w soboty pracują na zmianę, i dziś wypadł jej akurat wolny weekend. Siki miała tego dnia zacząć szkolić Dulcie, swoją kuzynkę, mającą zastąpić Siki do czasu jej powrotu po okresie opieki nad dzieckiem.¹

Dziecko, zadumała się Winter, krucha, cudowna istotka. Jak wspaniałe musi być uczucie rozwijającego się w środku życia, rosnącego, rozpychającego się, poruszającego, zmieniającego się z dnia na dzień, dopóki nie będzie gotowe z energicznym wrzaskiem wyjść na świat!

Dziecko, świadectwo miłości między kobietą i mężczyzną, namacalny dowód, że dwoje ludzi połączyło się w pięknym, intymnym akcie miłosnym, ślubując kochać się już zawsze.

Tak bardzo tęskniła za dzieckiem. Miałoby jej kolor skóry; geny indiańskie wydawały się w Winter dominujące; nie odziedziczyła przecież po ojcu rudych włosów ani rumianej cery.

Tak, jej dziecko będzie miało ciemne włosy i oczy oraz brązową skórę. Ale potomstwo dziedziczy cechy obojga rodziców. Chłopczyk będzie więc miał posturę Roberta, jego surowe rysy,

wdzięk atlety...

Usiadła, wściekła. Przycisnęła rękę do czoła, starając się powstrzymać wirujące myśli.

Co? – pytała sama siebie w zdumieniu. Roberta co? Roberta kto? Roberta dziecko?!

Ogarnął ją gniew i obrzydzenie do siebie. Zdecydowanym ruchem odrzuciła koce i wstała z łóżka. Zabrała czyste ubranie i poszła do łazienki.

Stała pod kłującymi strumieniami wody, gdy wróciły do niej te absurdalne myśli. Dlaczego, na miłość boską, wyobraziła sobie Roberta jako ojca jej przyszłego dziecka? Nie kochała go. Czasem nawet nie lubiła. Był ograniczony, zawzięty, nadęty, sztywny. Był... był najwspanialszy. Nigdy wcześniej nie spotkała takiego mężczyzny. A kiedy ją dotykał, topniała jak lód w palących promieniach słońca Arizony.

Och, czarki w owczych bobkach! – sarknęła niespodziewanie, zakrztusiła się wodą, po czym wypadłszy spod prysznica, kaszłała i prychała, zirytowana na siebie.

Wytarła się, założyła szorty w kolorze khaki, czerwoną bawełnianą bluzkę, splotła włosy w warkocz i zeszła do kuchni na filiżankę kawy. Na stole znalazła kartkę, na której Bessie powiadamiała ją, że wyjeżdża na zaplanowaną wcześniej wycieczkę mikrobusem hotelowym do Old Tucson.

Główną atrakcją turystyczną Old Tucson była replika miasteczka z Dzikiego Zachodu, wykorzystywana zresztą w wielu filmach. Bessie mogła tam być świadkiem pozorowanej strzelaniny na ulicy, mogła zobaczyć dziewczyny śpiewające i tańczące kankana w saloonie, oraz napad opryszków na bank.

Wyjazd był więc z pewnością interesujący. Winter dręczyła jednak inna myśl: czy Robert pojechał z matką?

Był tu znowu, zawładnął jej wyobraźnią, gdy sączyła poranną kawę. Powodował falę gorącej krwi w żyłach. Na samo wspomnienie jego fantastycznych pocałunków Winter przeszył dreszcz.

Przypomniała sobie ich ostatnią rozmowę. Nagle wyszedł z niego człowiek interesu, który naukowym podejściem potraktował cały ambaras, tak jakby to była jedna z jego inwestycji.

Dobry Boże, myślała. Ten facet musi mieć lód w żyłach. Sprawy serca i zarabianie wielkich pieniędzy to dla niego jedno i to samo.

I jak śmiał powiedzieć jej, że sienie zakocha? „Niedoczekanie twoje, laleczko!” Za kogo on się uważa? Naprawdę zasłużył na prztyczka w nos. Nie chciała się w n i m zakochać, ale ciągle jeszcze...

Odstawiła kubek na blat i wyszła do patio. Ku jej zadowoleniu dzień był znacznie chłodniejszy i przyjemniejszy niż poprzedni,

postanowiła więc wyplatać koszyki na dworze.

Robert, niezadowolony, patrzył na drzwi. Dzwonił już kilkakrotnie, lecz Winter się nie pojawiała. Jej samochód stał na podjeździe, co wskazywało, że jest w domu, lecz równie dobrze mogła wyjechać z kimś z grona swych przyjaciół.

Z mężczyzną? – myślał, chmurząc się coraz bardziej. A może z narzeczoną? Poczł ucisk w żołądku. Inny mężczyzna całujący Winter? – tej myśli nie mógł znieść!

Spokojnie, Stone, przywoływał się w duchu do porządku. Znów wariował. Nie miał prawa denerwować się, że Winter jest z kimś innym. Przecież nie łączy ich żadne uczucie; oboje sobie tego nie życzą.

Miłość, ślub, rodzina – to wszystko miało się pojawić, gdy zacznie czterdziestkę. Winter nie pasowała do planu. Gdyby wcześniej zaangażował się uczuciowo, musiałby drastycznie zmienić swoje plany. Wyjście było proste: nie mógł dopuścić do takiej sytuacji.

Ale inny mężczyzna całujący Winter? Do jasnej cholery, nie!

Ruszył na tyły domostwa w nadziei, że znajdzie Winter w patio. Jego matka wyjechała rankiem zobaczyć Dodge City czy coś równie absurdalnego; on zupełnie nie miał na to ochoty.

Przyjechał do Winter, by... Potrząsnął głową. Tak naprawdę to nie wiedział, po co tu jest, ale skoro już, to gdzie jest Winter?

Nagle usłyszał kobiecy śpiew. Dźwięk rozchodził się w ciszy pustyni ciepłym, aksamitnym echem. Zamarł w bezruchu i zaczął wsłuchiwać się w urzekający głos.

Płaczę w mroku nocy,

Moje łzy jak deszcz,

Nie mam dokąd uciec,

W moim sercu tkwi cierni.

Z biciem serca cicho ruszył naprzód.

Mój kochanek odszedł,

Nie żegnając się,

Moja dusza płacze

I ja płaczę też.

Ostrożnie zajrzał do patio. Winter, siedząc w cieniu parasola, wyplatała koszyk. Jej palce poruszały się sprawnie, znamionując mistrzostwo. I śpiewała.

Wschodzące słońce,

Wschodzące słońce...

Olśniło go; już wiedział, skąd ją zna, gdzie ją wcześniej widział.

Przynosi dzień nowy,

Ogrzewa wciąż mnie,

Nie ulegnę nocy,

Już nie muszę biec.

Ze ściśniętym gardłem przysłuchiwał się śpiewającej Winter. Jej głos wypełniał go, uderzał, a smutne słowa pieśni sięgały samego dna duszy.

*Już nie będę kochać,
Dość już moich łez,
Na zawsze zostanę
Z tobą, słońce me,
Wschodzące słońce,
Moje wschodzące słońce.*

Przestała śpiewać, ale dalej nuciła tę samą pieśń. Robert głęboko wciągnął powietrze.

– Ty jesteś Bright Winter Star* [Bright Winter Star – Jasna Zimowa Gwiazda (ang.)] – powiedział zduszonym głosem. – Ty jesteś słynną piosenkarką Bright Winter Star.

Winter z zapartym tchem skoczyła na równe nogi i wypuściła koszyk. Pobladła. Wpatrywała się w Roberta szeroko otwartymi oczyma.

– Nie rzuciła.

Wszedł do patio i stanął przed nią.

– Wiedziałem, że skądś cię znam – rzekł – lecz nie mogłem sobie przypomnieć skąd. Teraz już wiem. To było cztery albo pięć lat temu. Bright Winter Star, indiańska księżniczka, była u szczytu sławy. Zawsze nosiłaś białą skórzaną sukienkę ozdobioną

wisiorkami. Indiańska księżniczka... Tak.

– Robercie – powiedziała Winter słabym głosem. – Nie. Proszę, nie...

– Piosenka, którą śpiewałaś, którą też napisałaś, była na twojej płycie, ostatniej, zanim... Boże, Winter, pamiętam już wszystko. Zniknęłaś. Zrobił się straszny raban, ludzie snuli domysły, co się z tobą stało? Dokąd uciekłaś? Dlaczego odsunęłaś się od świata? Ta ostatnia piosenka była grana wszędzie bardzo długo. Ty naprawdę jesteś indiańską księżniczką. Ty jesteś Bright Winter Star.

– Przestań – wykrztusiła ze łzami w oczach. – Nie chcę tego dłużej słuchać. Ta część mojego życia jest zakończona. Koszmar minął. Jestem Winter Holt, właścicielką sklepu z upominkami w Tucson w Arizonie. Oto kim jestem. Czy mnie słyszysz? Oto kim jestem.

– Ach, Winter – rzekł Robert, obejmując ją. Winter starała się kontrolować swoje uczucia. Tym razem jednak pozwoliła sobie na komfort przebywania w jego ramionach, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa; już sam fakt, że obejmował ją, że był blisko, oddalał bolesne, męczące wspomnienia.

Po dłuższej chwili wyswobodziła się z jego objęć i otarła łzy. Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Więc teraz już wiesz – rzekła. – Wszystko to jest w Tucson dobrze znane. Z początku spowodowało to wrzenie, później, gdy

odmawiałam rozmów na ten temat, zajmąwszy się biznesem, sklepem, normalnym życiem, ludzie przywykli i zaakceptowali mnie taką, jaką jestem. Po prostu jako Winter Holt. Nie ma już indiańskiej księżniczki. Bright Winter Star nie istnieje.

Robert wziął ją za rękę i nakłonił, by usiadła naprzeciw niego. Podniósłszy koszyk, przyglądał mu się długo, po czym odłożył na stół. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach i splatając palce.

– Powiedz mi – rzekł cicho. – Proszę, Winter, powiedz mi, co się stało. W twoich oczach widzę ból. Powiedz, kto cię zranił.

– Ja sama. – Potrząsnęła głową. – Nie chcę o tym mówić, Robercie.

– Nie dobijaj mnie. Nie mogę patrzeć na smutek w twoich oczach.

Dlaczego? – zastanawiał się w duchu. Dlaczego naciskam, namawiam, żeby wszystko z siebie wyrzuciła? Czy to pozwoli jej znowu się śmiać? Wiedział tylko jedno: najważniejsze, by nie czuła się samotna. On był przy niej.

– Winter, chcę wiedzieć.

Muszę mu powiedzieć, myślała. Nagle nabrała przekonania, że Robert ją zrozumie. Wiedział, kim była; mógł więc też pojąć, kim jest teraz. Dlaczego tak pragnęła obnażyć przed nim swoją duszę? Nie potrafiła tego wytłumaczyć; wiedziała tylko, że musi mu wszystko opowiedzieć.

– W porządku, Robercie. – Westchnęła głęboko. – Urodziłam się i wychowałam we Flagstaff. W domu mieszkałam jeszcze podczas studiów na Uniwersytecie Północnej Arizony. Specjalizowałam się w biznesie, ale pragnęłam śpiewać i być sławną.

– Nie ma w tym nic złego. Przecież masz talent.

– Tak, ale źle się za to zabrałam. Byłam naiwna i niedoświadczona. Nie chciałam słuchać rodziców, nikogo. Spakowałam się i wyjechałam do Los Angeles, pewna, że ktoś mnie odkryje. Znalazłam pracę jako kelnerka w restauracji, w której co wieczór występował zespół wraz z wokalistką. Udało mi się przekonać menedżera, żeby pozwolił mi zaśpiewać jedną piosenkę. Robert skinął głową, dodając jej odwagi.

– Publiczności przypadły do gustu mój głos i to, co śpiewałam. Najpierw była jedna piosenka, później dwie... Aż doszło do godzinnego recitalu co wieczór. Występowałam jako Winter Holt, bez wspomnienia o moim pół-indiańskim pochodzeniu. Byłam w siódmym niebie. Śpiewanie ludziom własnych piosenek było dla mnie najwspanialszym zajęciem. Lecz później...

– Później? – zachęcał ją. – Co się stało?

– Świat stanął przede mną otworem. W restauracji pojawił się człowiek... mężczyzna nazwiskiem Clifford Foster. Usłyszał, jak śpiewam, i poprosił o rozmowę po występie. Powiedział, że może

uczynić ze mnie gwiazdę, która zrobi wielką karierę. Boże, to najstarsza w świecie historia, ale uległam. Nie mogłam wprost uwierzyć w moje szczęście i jak głupia podpisałam kontrakt, nie bardzo nawet orientując się w jego prawnych niuansach. Niedługo potem zakochałam się w Cliffie. On też mówił, że mnie kocha. Tak, kochał mnie, chciał się zająć moją karierą, wziąć pod opiekę. Zaufaj mi, księżniczko, mówił, zaufaj mi. I zaufałam. Oddałam w jego ręce moją karierę i moją miłość.

Robert zacisnął szczęki, jak gdyby chciał kogoś uderzyć, lecz jego wzrok nadal utkwiony był w Winter.

– Wszystko ruszyło jak z kopyta – ciągnęła. – Nie miałam chwili odpoczynku. Nagle stałam się Bright Winter Star, indiańską księżniczką. Moim „znakiem firmowym” była biała skórzana sukienka. Miałam dziesiątki dokładnie takich samych sukienek. Skupiliśmy się na moim indiańskim pochodzeniu. Nie pozwolono mi udzielać wywiadów; chodziło o aurę tajemniczości, jaką miałam roztaczać; indiańska księżniczka, która cicho płynie przez życie, nie mówiąc, lecz śpiewając.

Spojrzała w niebo, wstrzymując łzy. Opanowała się, odwróciła wzrok na Roberta.

– Minęły dwa lata. Nagrałam dwie płyty, jeździłam w trasy, robiłam wszystko, co kazał Cliff. Nie podobało mi się wykorzystywanie mego pochodzenia; czułam u siebie brak

szacunku dla mojej matki, dla moich przodków. Ostatecznie wygarnęłam Cliffowi, że nie chcę, by moja kariera przebiegała w ten sposób. Odpowiedział, że mój kontrakt obejmuje też image i nie można tych rzeczy rozdzielić. Tak słodko przemawiał, mówił o tym, jak bardzo mnie kocha, jak dużo dla mnie robi, jak bardzo mogę być bogata i sławna. Mijały dni, miesiące. Bright Winter Star odnosiła coraz to większe sukcesy, natomiast Winter Holt stawała się zagubiona, zażenowana i strasznie nieszczęśliwa.

– Winter – zaczął Robert, chcąc ukoić jej ból. Podniosła dłoń, przerywając mu.

– Byliśmy na występach w Chicago i wtedy... Zgadnij, kto zjawił się w hotelu? – Zaśmiała się sarkastycznie. – Żona Cliffa. Żona, o której przez z górą dwa lata nawet nie wspomniał.

Robert zaklął siarczyście w duchu.

– Byłam na tyle naiwna, że nic nie podejrzewałam, ale ona, niewiarygodne, była naiwniejsza ode mnie. Była przekonana, że jestem kolejną podopieczną Cliffa. Zostawiła dwójkę dzieci pod opieką swojej matki i przyleciała do Chicago, by zrobić niespodziankę swemu ukochanemu Cliffordowi. Powiedziała mi, że musi za nią tęsknić tak, jak ona tęskni za nim.

– I co zrobił ten sukinsyn?

– Wziął mnie na stronę i powiedział, że musi być miły dla żony, ponieważ potrzebuje jej finansowego wsparcia. Powiedział,

że za parę dni wyśle ją do domu i będziemy, mogli kontynuować całe przedsięwzięcie. Zaufaj mi dziecino, mówił. Ale we mnie już coś pękło. Zobaczyłam wreszcie, kim naprawdę jest. Używał mnie, eksploatował. Nigdy mnie nie kochał, nawet przez chwilę. To była blaga, sterta kłamstw wystarczająco olbrzymich, by mnie pogrzebać.

Robert zmełł w ustach kolejne przekleństwo.

– Nie, bardzo nawet pamiętam, co działo się przez kolejnych parę miesięcy; żyłam jak w bolesnej mgle. Zdrada Cliffa i wstyd (przecież wystawiłam moje pochodzenie na pośmiewisko) dobiły mnie... Tak wiele winy, tak wiele. Wtedy pewnej nocy w San Francisco napisałam piosenkę „Wschodzące słońce”, tę, którą właśnie słyszałeś. Chciałam w ten sposób . zebrać odwagę, aby skończyć z koszmarem, wrócić do domu, być znowu uczciwą i prawdziwą Apaczką Chiricahua. Ukryłam się w domu rodziców. Tam doczekałam końca całej historii.

– A co z Cliffem? Na pewno wściekł się jak diabli?

– O, tak. Przecież to dzięki mnie ciągle się bogacił. Wynajął prywatnych detektywów, którzy mnie znaleźli, i przybył do Flagstaff. Powiedział, że wniesie sprawę do sądu i że ściągnie ze mnie ostatni grosz, jeżeli nie wrócę i nie dotrzymam warunków kontraktu. Odpowiedziałam, że jeśli zrobi cokolwiek lub nawet zbliży się do mnie albo do kogokolwiek z mojej rodziny, umówię

się na miłe spotkanie z jego żoną.

– Dobrze zrobiłaś.

– Wyniósł się i więcej o nim nie słyszałam. Miałam wtedy dwadzieścia cztery lata i uwierz mi, już nie byłam ani naiwna, ani dziecinna. Nikt już nie mógł mnie wykorzystać. Pieniądze, które zarobiłam śpiewając, posłużyły mi tu, w Tucson. Wyjechałam w podróż po Meksyku, Oklahomie i Nowym Meksyku. Chciałam wiedzieć jak najwięcej o indiańskiej sztuce. Wykorzystując nabytą podczas studiów wiedzę, powoli, systematycznie wypracowałam plan otwarcia własnego sklepu. Robert skinął głową.

– Gdy nadeszła właściwa pora, otwierałam sklep i nazwałam go *Wschodzące Słońce*. Mówiłam prawdę, że nazwa była hołdem złożonym Apaczom Chiricahua. Ale nie tylko. Przecież taki był tytuł mojej ostatniej piosenki, tej, która mi dała siłę konieczną do tego, by wyrwać się spod wpływu Cliffa. Ta nazwa przypomina mi, kim byłam i jak długą drogę musiałam przejść, by odzyskać zaufanie do siebie. Nazwa *Wschodzące Słońce* zawiera w sobie wiele treści. Jest ściśle związana z moim ponownym startem.

– A słowa piosenki? – spytał cicho Robert. – Mówią, że się nigdy nie zakochasz. Odniesienie do wschodzącego słońca znaczy, moim zdaniem, że znalazłaś wewnętrzny spokój i że jesteś zadowolona z nowego życia, które sobie stworzyłaś. Myślę, iż niektórzy uważają, że treść korzeniami tkwi w indiańskim

folklorze, że chodzi o jakieś duchowe połączenie ze słońcem o świcie.

– Wziąwszy pod uwagę fakt, że śpiewała ją Bright Winter Star, jest to możliwe.

– A reszta? Nigdy się nie zakochasz... Naprawdę tak uważasz?

– Tak.

– Boże, Winter, jesteś taka młoda, taka piękna, taka. .. Ile masz lat? Dwadzieścia sześć?

– Dwadzieścia osiem, Robercie. Kiedy dochodziłam do siebie po tej klęsce, zbudowałam solidny mur wokół mego serca. Nie chcę ryzykować miłości ani zaufania do kogoś takiego jak Cliff.

– Ale nadal jesteś zagrożona. Wmówiłaś sobie, że nie jesteś naiwna, a skazujesz się na życie w samotności z powodu błędów, które popełniłaś, będąc jeszcze nieomal dzieckiem.

– Nigdy już nie będę kochać.

Usiadła na krześle i w zamyśleniu wodziła ręką po włosach.

– Nie masz racji – powiedział. – Zbyt dużej ceny żądasz od siebie za błędy młodości.

Wzruszyła ramionami.

– Niech będzie, Robercie. Moje podejście do tego problemu nie różni się zbyt wiele od twojego. Zdecydowałeś, kiedy pozwolisz miłości wkroczyć w swoje życie. Jeżeli to nie będzie odpowiedni czas, zignorujesz ją. Ja zignoruję ją zawsze; czas nie gra roli.

Nasze stanowiska nie różnią się aż tak bardzo.

– Ale... Do . licha, dobrze.

Ona naprawdę tak myśli, uprzytomnił sobie. Naprawdę zdecydowała, że nigdy już nie pokocha. Nic dziwnego, skoro gdy kochała, dawała z siebie wszystko bez żadnych zastrzeżeń. Miała tak wiele do zaoferowania; nie tylko piękno, ale i ciepło, radość. Boże, myślał Robert, chciałbym dopaść Clifforda Fostera, zapłaciłby wtedy za wszystko, co zrobił Winter.

Uroczej Winter z wielkimi ciemnymi oczyma, przypominającej Robertowi młodą, niesforną łanię. Była delikatna uczuciowo, ale w głębi kryła się w niej silna kobieta, która potrafiła się otrząsnąć z depresji, której winien był Foster.

– A co z dziećmi? – zapytał, przerywając ciszę. – Twoje podejście odbiera ci szansę zostania matką. – Przerwał. – Nie, jednak nie. Adopcja nie jest niczym dziwnym. Poza tym możesz mieć własne dziecko, nie wychodząc za jego ojca.

– Nie zrobię tego – powiedziała. – Wiele razy myślałam o tym. Chcę mieć dziecko, bardziej niż ci się wydaje. Tyle tylko, że ja wychowałam się, kochana przez ojca i matkę. Każde z nich dawało mi coś innego. Znam parę wspaniałych matek, ale nie chcę z góry pozbawiać swojego dziecka ojcowskiej miłości. Nie, nie będę miała dziecka.

Potrząsnął głową.

– To nie w porządku. Do licha, Winter, wstrzymaj się i pomyśl, co robisz. Mówisz, że zbudowałaś mur wokół serca. Więc go, na miłość boską, zburz! Nie możesz traktować siebie tak okrutnie. Rozumiesz?!

– Nie. – Sięgnęła po koszyk i zaczęła wplatać weń cienki pasek materiału.

– Co to jest? – spytał Robert.

– Pasek wykonany z liści juki. Dostałam je od Indian Hopi. Pochylił się, by lepiej zobaczyć.

– Robisz to naprawdę szybko.

– Lata praktyki. Wyplatanie bardzo mnie relaksuje, czyni odporną na stresy, jak chyba zauważyłeś. Wyplatam więc, uspokajam się, a na dodatek mam poszukiwany towar do mego sklepu. Mam nadzieję, że jako biznesmen docenisz zaletę takiego rozwiązania.

– Owszem.

– Mogę sobie wyobrazić – ciągnęła Winter, nie patrząc na niego – że wszystkie aspekty twojego życia, osobistego i zawodowego, zostały już przetestowane i ukierunkowane na efektywność. Czy dopracowałeś już szczegóły, jak wybierzesz sobie żonę, gdy skończysz czterdziestkę? Zmarszczył brwi.

– Szczegóły?

– Tak, Robercie. Każdy, kto wie, że któregoś dnia zapali

czterdzieści świeczek na urodzinowym torcie, a w następnym posunięciu wypowie sakramentalne „chcę”, ma z pewnością listę wymagań stawianych przyszłej żonie. Brunetka? Blondynka czy rudowłosa? Wysoka? Niska? Lubieżna? Delikatna? Pewnie ma uwielbiać dzieci? A co z kociakami i szczeniętami? A może powinna lubić wszystkie puszyste stworzonka? Czy ktoś w ogóle wytrzyma taki test?

– Dość, Winter – rzekł, zaciskając szczęki. – Sprawiasz, że wychodzę na głupka.

Cisnęła koszyk na stół.

– Bo nim jesteś! Wybrać dokładnie wiek ożenku; nie trzydzieści dziewięć lat, nie czterdzieści jeden, tylko dokładnie czterdzieści, jak za naciśnięciem guzika. To jest głupota.

– Nie większa niż ten idiotyczny mur, którym otoczyłaś serce – rzekł, podnosząc głos – z tego tylko powodu, że zrobiłaś błąd, gdy byłaś zbyt młoda, żeby lepiej wiedzieć. To właśnie jest głupie.

– Tak jak i twoje durne plany matrymonialne – przekrzyczała go. – To ten sam rodzaj bufonerii, który uczynił twoją matkę taką nieszczęśliwą. Dlaczego nie zaczniesz rozbijać swojego muru? Masz taki i to z obu stron; nie pozwala ci zejść z drogi ani o cal aż do śmierci. Potrzeby innych, jeśli wzbudzają twój niepokój, są nieważne. Jesteś ruchomym, gadającym kalendarzem wydarzeń, zapisanych nieścieralnym atramentem już do końca. A nawet

dalej...

Nagle wstał, schwycił ją za ramiona i podniósł z krzesła. Przywarł ustami do jej ust, wsunął język w słodki mrok. Ich serca załomotały w dzikim rytmie. Pocałunek złagodniał. Otoczył ją ramionami, tuląc do siebie.

Winter, zaskoczona niespodziewanym zachowaniem Roberta, dopiero po chwili ochłonęła. Przymknęła szeroko rozwarte z zaskoczenia oczy. Objęła rękami jego szyję i oddała pocałunek.

Robert miał inne zamiary, lecz pewne fragmenty tyrady Winter były trudne do przełknięcia; nieprawdziwe, niesprawiedliwe zarzuty.

Nie chciał walczyć z Winter, nawet gdy kipiał ze złości. Odśloniła przed nim swoją bolesną przeszłość i ucieszyło go, że była tak otwarta i szczerą. Nie chciał już kłócić się z nią, chciał ją całować.

I tak właśnie było.

I pocałunek był ekstazą.

Gładził rękami jej plecy, przyciskając ją bliżej i bliżej; ucisk miękkich wypukłości jej piersi podniecał go coraz bardziej. Rozplótł jej warkocz. Jedwabiste pasma włosów prześlizgiwały mu się między palcami niczym hebanowy wodospad.

Złapał krótki oddech i raz jeszcze odnalazł ustami jej usta, pewien, że to, w czym brali udział, ukoji ból Winter, oddali zmory

jej przeszłości. Chciał uwolnić ją od koszmarnych wspomnień po to, aby mogła się znów śmiać i kochać życie.

Kochać jego.

Co? – spytał znajomy głos w jego umyśle. Przecież nie zamierzał zakochać się; jeszcze nie teraz. Odkrył to ostatniej nocy spędzonej z Winter. Nie chciał się zakochać w niej.

Z ust Winter wymknął się cichutki pomruk zadowolenia i wszelkie logiczne myśli prysnęły z umysłu Roberta.

Och, Robercie, myślała Winter rozmarzona, nie chciałam ci mówić o mojej przeszłości, o wstydzie, który czuję. A jednak teraz, gdy wiedział o wszystkim, z jakiegoś nieznanego powodu cieszyło ją to. I cieszyła się, że Robert ją całuje. Jej serce było przepełnione czystą, prostą radością. Chciała, aby ten pocałunek trwał wiecznie.

Robert czuł podświadomie, że traci kontrolę, że balansuje na krawędzi otchłani namiętności. Pożądał aż do bólu, chciał połączyć się z Winter, połączyć w jedno istnienie. Odczuwał ogrom czułości, opiekuńczości... i jeszcze coś bezimiennego; nie chciał nazywać tego miłością.

Ale musiał przestać całować Winter. Teraz.

Unióśł głowę i drżącymi rękami odsunął Winter od siebie. Powoli otworzyła oczy. Nieomal jęknął, zobaczywszy bezmiar pożądania w jej oczach, ciemnych jak głębokie śródleśne jeziora.

– Och... mój... – wyszeptała. Odsunął się od niej.

– O mało co zapomnielibyśmy się – powiedział, hamując emocje. – Pocałunki były wspaniałe, były... Winter, czy pamiętasz o naszym planie?

– Planie? – mruknęła, rozwiewając resztki otaczającej ją mgiełki pożądania. – Och, planie! Nie chcemy się w sobie zakochać. Od czasu, kiedy sami kierujemy swoimi uczuciami, nie ma zagrożenia – wyrecytowała. – Nie zakochuję się w tobie, Robercie.

A może tak? – myślała. Boże, może jednak tak?

– Nie martw się o nic – dodała.

– W porządku. – Skinął głową. – Ja też nie zakochuję się w tobie. Tak więc trzymamy się dobrze. Jak już wspomniałem, zdusiliśmy to w zarodku. Czuję się świetnie.

To, co zrobiłem, to przypadek, myślał, załamanie nerwowe. Boże, a jeżeli to nie miłość, to w takim razie co? Nie czuł się jednak na siłach, by w tej chwili myśleć o tym.

– Widzisz, jakie wspaniałe efekty można osiągnąć, myśląc logicznie? – skonstatował.

– Tak, to zdumiewające. – Wzięła nie dokończony koszyk, pasmo juki i ruszyła do domu. – Przypomniałam sobie, że muszę kupić coś do jedzenia. Nie chcę być niegrzeczna, ale muszę wyjść do sklepu.

– Pójdę z tobą – Robert usłyszał własny głos.

Na Boga, do sklepu? – myślał, zdumiony. Robert Stone w sklepie spożywczym?! Nigdy tam nie był.

– Lubię sklepy spożywcze – powiedział. Odwróciła się do niego.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Och! Są fascynujące. I zorganizowane. Bardzo dobrze zorganizowane. To dla mnie przyjemność przebywać w otoczeniu stworzonym przez kogoś z głową na karku. Rozumiesz, co mam na myśli?

Spojrzała na niego z uwagą.

– Nie bardzo.

On też nie rozumiał.

– Lepiej chodźmy do tego sklepu – rzekł niepewnie.

Jechali furgonetką. Winter prowadziła spokojnie i umiejętnie. Powietrze było nadal świeże, jak gdyby lato spakowało się i wyjechało do nie znających jesieni krajów.

– Bardzo górzysta okolica – powiedział Robert, spoglądając przez okno.

– Tak, góry otaczają Tucson z trzech stron – odparła Winter. – Poszczególne masywy zwą się Catalina, Rincon i Tucson. Na południu leży Nogales w stanie Sonora. To już Meksyk.

– Na pierwszy rzut oka pustynia jest martwa, ale może się

podobać. Czytałem, że dużo tu milutkich stworzonek... Wiesz: skorpiony, węże, kojoty...

Uśmiechnęła się.

– Apacze, którzy jeszcze wierzą w duchy, sądzą, że pojawiają się one nocą jako sowy lub kojoty.

– Czy ty wierzysz w duchy?

– Ja? Boże! Nie, ale szanuję i korzystam z wielu indiańskich nauk.

– Na przykład? – spytał, zerkając na nią.

– Pewnie widziałeś na rysunkach Indianki noszące niemowlęta w zawiniątkach na plecach. Na ogół uważa się, że robią to, aby mieć dziecko przy sobie i jednocześnie wolne do pracy ręce.

– A nie jest tak?

– Jest, ale to tylko część prawdy. Dziecko niesione na plecach matki jest cały czas na wysokości oczu dorosłego. Szacunek dla siebie, znajomość własnej wartości; te rzeczy wpaja się dziecku od urodzenia. To, że dziecko nie patrzy pod górę na dorosłego, wcale nie umniejsza szacunku dla starszych, raczej przygotowuje do wcześniejszego przyswojenia wiedzy dorosłych właśnie przez rozmowy twarzą w twarz. Kiedy rozmawiam z dziećmi, zawsze pochylam się i patrzę prosto w oczy.

– To mi się podoba. To ma sens. – Wolno kiwnął głową. Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie.

– Jest jeszcze jedna rzecz, której nauczyłam się od Indian – powiedziała. – Szanują starszych ludzi. W ich rodzinach najstarsze osoby są poważane. Wiek dodaje prestiżu. Dożyć późnego wieku to znaczy pokonać wszelkie trudności życiowe, osiąść wiedzę, mądrość, doświadczenie, żyć w harmonii z otoczeniem i z samym sobą.

Robert przymrużył oczy.

– Wiem, do czego zmierzasz... Chcesz mówić o matce. Winter, jest nam dobrze. Dlaczego mamy psuć sobie humor tematami, które bez wątpienia doprowadzą do krzyku? Dzisiejszy dzień jest nasz. Tylko my dwoje, dobrze? – Dotknął palcem jej policzka.

Pod wpływem niespodziewanej pieszczoty przeszedł ją dreszcz. Zacisnęła tylko mocniej ręce na kierownicy.

– Dobrze, Robercie – powiedziała miękko, patrząc przed siebie.
– Dzisiejszy dzień jest nasz.

Rozdział 5

Dzisiejszy dzień jest nasz.

Od tej chwili Winter zgadzała się z Robertem we wszystkim. Przytakiwała jego słowom. Było im lekko na sercach, a dzień rozwinął się przed nimi niczym autostrada.

W miarę jak oddalali się od położonego na pustyni domu Winter, Robert czuł narastający głód. Gdy wjeżdżali na ruchliwe ulice Tucson, oznajmił:

– Może poszlibyśmy na lunch? Umieram z głodu.

Winter uśmiechnęła się i usłużnie zaparkowała obok meksykańskiej restauracji. Zjedli tacos, potrawę z siekanego mięsa i chrupek serowych. Przy jedzeniu omawiali zalety kontrowersyjnej książki znajdującej się aktualnie na liście bestsellerów.

Później przeszli na tematy filmowe, zajęli się zawodowymi zespołami futbolowymi, by skończyć na przewidywaniach, kto zagra w finale w tym roku.

Nie zgadzali się w niczym, ale chcieli się po prostu dobrze bawić, toteż dyskusja sprawiała im dużą przyjemność. Nawet stawiane sobie wzajemnie żartobliwe zarzuty nienormalności poprawiły tylko ich humor.

Potem włączyli się bez celu wzdłuż promenady, zaglądając do

różnych sklepów. W końcu weszli do sklepu ze świecami, jak powiedziała Winter – ku jej zgubie, gdyż uwielbiała zapalać w pokojach aromatyzowane świece.

Robert rozglądał się, zaintrygowany.

– Te świece są niesamowite – rzekł. – Połowa z nich nawet nie przypomina świec. Popatrz na te w kształcie zwierząt. Wyglądają, jak gdyby przywieziono je prosto z lasu.

– Wspaniale, prawda? – stwierdziła Winter, podchodząc do półki. – Kolory, szczegóły... Nigdy nie mogę się zmusić do zapalenia takiej świecy. To jak zniszczenie pięknej rzeźby. Są naprawdę cudowne.

Pochylił się, opierając ręce na kolanach, żeby lepiej widzieć. Jego wzrok przykuła świeca w kształcie pary sów siedzących na gałęzi i przytulonych do siebie. Całość była wysoka na około piętnaście centymetrów i szeroka na dziesięć.

– Nie do wiary! – powiedział. – Mogę przysiąc, że gdybym dotknął którąś z tych sów, poczułbym miękkie pióra.

Wyprostował się i uśmiechnął do Winter.

– Kupię to dla ciebie.

– Och, Robert, dziękuję, ale nie. Nie chcę, żebyś mi cokolwiek kupował.

Podniósł rękę w uciszającym geście.

– To jest eksperyment, panno półkrwi Apaczko Chiricahua.

Podobno nie wierzysz, że upiory wcielają się nocą w postaci sów i kojotów.

– Nie wierzę.

– Więc sprawdzimy to. Postawimy sowy na półce nad kominkiem i zobaczymy, czy się przestraszą. Z tego, co wiem, czasem mówisz jedno, a nieraz drugie, pani Chiricahua.

Winter zmrużyła oczy; chciała cię rozgniewać, lecz wybuchnęła śmiechem.

– Masz rację, Stone – powiedziała. – Jesteś dumny, ale masz rację.

Robert skinął głową, delikatnie zdjął świecę z wystawy i ruszył w stronę lady.

Kobieta w średnim wieku, która stała za ladą, objawiła niezmierną radość, kiedy ujrzała Roberta kładącego na blat parę woskowych sów.

– Wspaniały wybór – rzekła. Odczepiła metkę i owijając świecę w papier, zapytała: – Czy państwo kupują 10 dla siebie, czy jako prezent?

– To dla nas – odparł Robert. Zmarszczył brwi, jakby niezadowolony, po czym wzruszył ramionami. – Tak, to dla nas.

Kobieta spojrzała na Roberta, potem na Winter i jeszcze raz na Roberta.

– Wspaniale – powiedziała, sięgając po pudełko. – To są

zakochane sowy.

Winter mrugnęła.

– Słucham?

– To są zakochane sowy, kochana. – Kobieta włożyła do pudełka owiniętą w papier świecę. – Widziałaś, jak blisko siebie siedzą na gałęzi, jak tulą się do siebie. One są jednością; kochają się. Nazywane są więc zakochanymi sowami.

– Och – powiedziała Winter cicho – to... interesujące.

– Prawda? – dodał Robert, tłumiąc śmiech. – Bardzo, bardzo interesujące.

Winter spojrzała na Roberta karcącym wzrokiem i odeszła od lady, udając zainteresowanie innymi świecami. Robert wyciągnął portfel.

Zakochane sowy, powtarzała w duchu Winter. Zakochane sowy? Nie była przesadna, ale sama myśl o zakochanych sowach, siedzących na półce w jej domu, wywoływała dziwny niepokój.

Zakochane sowy kupione przez Roberta. ^{tl}

Zakochane sowy przytulone do siebie; symbol wielkiej, niezniszczalnej miłości, miłości najczystszej formie.

Dwie zakochane sowy. Jedna – Robert, druga – Winter.

Och, na Boga, myślała Winter, wstrząsając głową. Ktoś podchodzi, zapala świecę i cieszy się jej pięknem, które przemija wraz z blaskiem... Jakie to romantyczne!

Odwróciła się w stronę Roberta. Wiedziała, że nigdy nie przyłoży płonącej zapalki do tej świecy, nie zniszczy zakochanych sówek.

– Wszystko gotowe. – Robert odwrócił się od kontuaru.

W ręce trzymał torbę ze świecą. Winter zmusiła się do uśmiechu z nadzieją, że wygląda prawdziwie.

– Wiesz, która godzina? Chodźmy lepiej do sklepu spożywczego, mój panie.

– Do usług, madame. – Skłonił wytwornie głowę. Odnieśli zakup do samochodu i ruszyli do supermarketu znajdującego się na drugim końcu promenady.

Winter biegła z listą zakupów pomiędzy półkami zastawionymi towarem, Robert zaś popychał wózek, będąc jakby nieobecny duchem.

Zakochane sowy, myślał. Na niebiosa! Kupiłem zakochane sowy. Na dodatek zamierzał postawić je na półce w domu Winter. Marzył o tym, by ustawianie na półce traktowane było przez nich oboje jako uroczyste wydarzenie.

I co teraz? – zastanawiał się. Kupił woskowe sowy nie dla żartu, raczej uzupełniając nastrój, który stał się ich udziałem. Podobało mu się mieszane pochodzenie Winter. Doceniał fakt, że potrafiła czerpać mądrość z obu swoich światów. Chciał jednak sprawdzić, czy rzeczywiście uwolniła się od indiańskich

przesądów.

A co się stało? Świeca okazała się parą zakochanych sów, przedstawiającą dwoje oddanych sobie, kochających się ludzi. Dwoje ludzi, którym nie zależy na towarzystwie innych. Dwoje ludzi stojących przy sobie na dobre i na złe. Kobieta i mężczyzna, żona i mąż, Winter i Robert...

Zamknij się, Stone, powiedział sobie w duchu. Chciał wyryć sobie w mózgu hasło: „Pomyśl o czterdziestce”. Ma co robić, dokąd iść. Są ludzie, z którymi powinien się spotkać. Są pieniądze, które musi zarobić. Nie ma czasu poświęcać się teraz żonie. Nie zakocha się w Winter Holt.

Wracali do domu. Pierwszych kilka kilometrów jechali bez słowa, w końcu Winter przerwała ciszę.

– To był uroczy dzień, Robertcie. Jestem... jestem szczęśliwa, że zdecydowałeś się jechać ze mną.

Spojrzał na nią.

– Ja też bardzo lubię twoje towarzystwo.

Stanęli na światłach. Zatrzymała wzrok na torbie leżącej pomiędzy siedzeniami, potem popatrzyła mu w oczy.

– Dziękuję za prezent – powiedziała łagodnym głosem.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Trwali tak wpatrzeni w siebie, dopóki ogłuszający sygnał z samochodu stojącego za nimi nie zmusił Winter do jazdy. Dopiero

wtedy zauważyła, że światło zmieniło się na zielone. Nacisnęła pedał gazu.

W samochodzie znów zapanowała cisza. Patrzyli na szosę, świadomi swej bliskości. Obydwoje próbowali zignorować torbę z zakochanymi sowami; nie udało im się to; torba jakby rosła w oczach, zaznaczając swoją obecność, ściągając uwagę.

Z bezgłośnym westchnieniem ulgi Winter skręciła w drogę dojazdową i w końcu zatrzymawszy się przed domem, wyłączyła silnik.

– Jesteśmy na miejscu – rzekła, nadając głosowi zwykłe brzmienie. – Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Wyszli z furgonetki, odwrócili się i ich spojrzenia zetknęły się ponad siedzeniami. Nie sięgali ani nawet nie patrzyli na torbę leżącą między nimi.

– Weź ją powiedział Robert. – Ja przyniosę zakupy.

Wyszedł, by odsunąć boczne drzwi furgonetki. Winter wyciągnęła rękę w stronę torby, zawahała się, dotknęła.

Na miłość boską! – myślała. To absurd. Zachowywała się, jakby żywa zawartość torby mogła ją pożreć lub rzucić na nią urok. Totalny absurd!

Zdecydowanym ruchem ręki wzięła torbę i ruszyła do wejścia. Robert podążał za nią, objuczony zakupami.

Weszli do domu. Robert poszedł do kuchni, a Winter

zatrzymała się, by położyć portfel na krzesło. Dłuższą chwilę przyglądała się torbie, po czym z werwą położyła ją obok portfela. Szybko odwróciła się i pomaszerowała do kuchni.

Siłą woli odsunęła od siebie wizję oczekujących troski zakochanych sów. Tymczasem Robert rozpakowywał torby. Zajęła się więc układaniem zakupów na odpowiednich miejscach.

– Robercie, czy chcesz usłyszeć jeszcze jakieś indiańskie legendy? – zapytała. – Niektóre z nich są fascynujące.

– Oczywiście – odparł, wyjmując puszkę z zupą. – Krem z brokułów. Brzmi wspaniale. Czy krem z brokułów to zupa?

– Tak, i to całkiem smaczna. W każdym razie legenda mówi, że Ussen, zwany też Dającym Życie albo Bogiem Niebios, stworzył wszechświat. Stworzył też Białą Malowaną Kobieta, znaną jako Matka Ziemi lub Matka Apaczów.

– Bardzo dużo tu pseudonimów.

– Myślę, że legendy też zmieniają się z czasem. Nieważne. Biała Malowana Kobieta miała dwóch synów. Ojcem jednego z nich, Dziecka Wody, był Piorun. Dziecko Wody stworzył Apacz-Chiricahua. Drugi syn, którego ojcem był Bóg-Słońce, nazywał się Zabójca Wrogów. On stworzył białych ludzi.

– Biała Malowana Kobieta nie miała chyba zbyt wiele czasu – powiedział Robert. – Jej chłopcy z pewnością stworzyli niezbyt przyjemne sytuacje. To dowodzi, że właściwy dobór rodziców

mógłby oszczędzić wiele istnień ludzkich.

Winter z uwagą słuchała tego, co mówi Robert.

– To bardzo nowoczesna analiza bardzo starej legendy – powiedziała. – Chociaż historia uczy, że po obydwu stronach (myślę o zetknięciu się rasy białej i czerwonej) popełniono wiele błędów. Łatwo to osądzić teraz, lecz wtedy wszyscy uważali, że postępują słusznie. A stało się tak dlatego... no cóż, stało się.

Robert patrzył na Winter, trzymając w ręku butelkę keczupu. Jego brwi zmarszczyły się groźnie.

– Posłuchaj siebie przez chwilę – rzekł. – Wychodząc z założenia, że ludzie są uczciwi, ale popełniają błędy, wybaczasz ogrom grzechów wielu ludziom. Nie chcesz jednak przyłożyć tej samej miarki do siebie. Pozwalasz jednej pomyłce z przeszłości dyktować ci całą przyszłość. Czy nie widzisz sprzeczności?

– Ja... nigdy o tym tak nie myślałam – powiedziała, obracając się do niego.

– Ale to prawda, nie widzisz? Mogłabyś się martwić, że Indianie zostali dawno temu bardzo źle potraktowani. Mogłabyś pałać złością, bo twoi indiańscy przodkowie zmasakrowali wielu białych, wśród których mogli być twoi pradziadowie po ojcu. Ale zamiast tego jesteś otwarta, przebacząca, widząca ludzką słabość w obu grupach. Winter, jesteś kobietą, która prowadzi dochodowy interes, ma uroczy dom, wiele wygrała. Czy nie lubisz siebie i nie

szanujesz się na tyle, żeby wybaczyć sobie i zrozumieć brak doświadczenia sprzed wielu lat?

– Cóż, jestem dumna ze *Wschodzącego Słońca*, z jego reputacji jako sklepu oferującego najwyższej jakości wytwory kultury indiańskiej. Pracowałam na to bardzo ciężko, ale... – Założyła ręce. – Do diabła, Robercie! Od kiedy jesteś magistrem psychologii? Twoje przemówienie wprawia mnie w zakłopotanie. Perorujesz niczym zapalony filozof.

– Nie jestem ani psychologiem, ani filozofem – rzekł cicho. Odstawił keczup i ruszył w jej stronę. – Jestem po prostu mężczyzną, który widzi piękną, ciepłą, uczuciową kobietę, skazującą się na życie w samotności.

Winter opuściła ramiona i odwróciła się, widząc, jak Robert zbliża się ku niej coraz bardziej. Gdy spojrzała w jego błękitne oczy, serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Poczowała, że brak jej tchu.

– Ty też otoczyłeś się murem, Robercie – powiedziała, ciągle cofając się. – Mówiłam ci wcześniej. Nie pozwala ci zejść z drogi, którą sobie wytknąłeś na całe swe życie.

Oparła się o lodówkę, która pod ciężarem jej ciała zazgrzytała.

Robert stanął tuż przed Winter, cały czas wpatrzony w jej oczy. Ujął jej głowę dłońmi.

– Ale ty burzysz mój mur, nieprawdaż? – powiedział niskim głosem. – Każdym uśmiechem, każdym spojrzeniem swoich

sarnich oczu, każdą chwilą radości szczerbisz jego ściany.

– Nie, nic takiego nie robię – wyszeptała drżącym głosem. –
Ja... nie... ja naprawdę nie...

– Niszczysz – powiedział Robert. – Krok... – zbliżył swą twarz do jej twarzy – ... po... – powiódł językiem po jej ustach – ... kroku.

Ich usta stopiły się w pocałunku. Jego język wślizgnął się pomiędzy jej wargi. Dłonie Winter oderwały się od lodówki, oparły o tors Roberta, jakby chciały go odepchnąć, lecz w końcu przesunęły się w górę, by objąć jego szyję. Przycisnęła go mocniej do siebie.

Robert jęknął, gdy jego rozbudzone ciało napotkało miękką kibić Winter. Pocałunek stał się mocniejszy, pożądanie rozpałiło ich serca. Robert smakował słodycz ust Winter, kiedy oddała pocałunek. Wiedział, że nie pokona samego siebie, ale już się tym nie martwił.

Pragnął jej. Ona pragnęła jego.

Będą jednością.

To nie będzie seks, myślał mgliście. To będzie prawdziwa miłość. Tak będzie, bo tylko tak może być.

A to dlatego, że zakochał się w Winter Holt.

Odsunął nieco głowę i ciągle wpatrzony w Winter, zaczerpnął tchu. Uniosła powieki. Jej spojrzenie pełne było pożądania.

Robert czekał, aż spłynie z niego gniew, gniew na miłość, która śmiała pojawić się w złym czasie, zmuszając go do zmiany dobrze przemyślanych życiowych planów.

Czekał na strach, zrodzony z utraty kontroli nad swymi uczuciami, sercem, a może nawet i duszą. Wszystkie nitki trzymała stojąca przed nim kobieta. Czuł się nagi i zagrożony.

Jego mięśnie aż sprężyły się w oczekiwaniu nawału emocji.

Nic jednak się nie stało.

Patrzył na Winter, ale zamiast gniewu wypełniała go radość. Odnalazł ją, kochał, może zostaną ze sobą na całe życie.

Jedno słowo wymknęło mu się z ust:

– *Para-ah-dee-ah-tran.*

– Zadowolona – zawtórowała cicho Winter.

Tak. Ciągłe pulsujące w jej żyłach pożądanie mieszało się z nowym uczuciem – uczuciem spokoju, zadowolenia; Robert Stone był z nią.

Była pewna, że osiągnęła już w życiu wszystko. Czasem tęskniła do dziecka i do mężczyzny, który mógłby być jej partnerem na zawsze. Ale nigdy nie zadrezczała się tymi myślami. W razie niebezpieczeństwa chroniła się za swym murem.

Ale teraz... Robert Stone.

Zawsze kiedy ją dotykał, całował, jej serce śpiewało z radości; mur od razu odchodził w zapomnienie.

Nie, Winter, powiedziała sobie, tak nie może być. Nie chciała znów zaznać rozpaczliwego złamanego serca. Naciski Roberta, aby wybaczyła sobie błędy przeszłości, sprawiały, że czuła się zmieszana. Musi raz jeszcze rozważyć swoje decyzje.

Musi zebrać całą swoją wewnętrzną siłę, aby oprzeć się urokowi Roberta i własnemu, gorejącemu w niej, niepoohamowanemu pożądaniu.

– Robercie – powiedziała z nadzieją, że nie wyczuje drżenia jej głosu – lody się rozpuszczają.

– Co?

– Kupiliśmy lody. Są jeszcze nie rozpakowane i mogą się rozpuścić.

– Och! – Zerwał się na równe nogi. – Lepiej zajmijmy się nimi, dobrze? – Podeszedł do stołu i zaczął wyjmować kolejne artykuły z torby. – O, są.

Wracając, już z lodami, zaśmiał się do swych myśli.

Zakochał się po raz pierwszy i jedyny w swoim życiu. I zaraz po tym odkryciu omawia z kobietą swego serca szalenie poważną kwestię topniejących lodów. To nie jest temat na romantyczny film.

Jednak ten dziwaczny scenariusz podobał mu się; był jedyny w swoim rodzaju, był własnością jego i Winter. Pewnie na starość będą się z tego śmiali.

– Coś nie tak? – zapytała Winter. – Śmiejesz się, jakbyś miał jakiś sekret.

Zamknął zamrażalnik.

Oczywiście, miał sekret, ale jeszcze nie czas go ujawniać. Winter była zbyt spłoszona, zbyt wystraszona, zbyt zadreńczana przez koszmarną przeszłość, by przyjąć wiadomość, że się w niej zakochał. Musi być cierpliwy.

– Myślałem o mojej matce – powiedział. – Ciekawe, czy kupi sobie w Old Tucson wielki kowbojski kapelusz. Mam nadzieję, że dobrze się bawi. To, co teraz robi, jest takie inne, w niczym nie przypomina jej zwykłych zajęć.

Zmarszczyła brwi i przekrzywiła w bok głowę.

– Ty... cieszysz się, że Bessie przeżywa nowe przygody? Robercie, nigdy tak nie mówiłeś.

– Naprawdę? – Uniósł brwi i spojrzał na Winter z miną niewiniątka.

– Oczywiście, że nie – odparła, mierząc go wzrokiem.

Włożyła puszki z owocami i warzywami do kredensu, po czym popatrzyła na niego podejrzliwie. Uśmiechnął się uprzejmie i schował puste już torby.

– Zrobione – powiedział. – Nie zajęło nam to zbyt wiele czasu. Jesteśmy wspaniałym zespołem, prawda?

Zdziwienie odmalowało się na jej twarzy. Czego on teraz chce?

– myślała. Wspaniały zespół? Jak mąż i żona? Nie, z pewnością zbyt wiele stara się wyczytać z jego słów. Bez wątpienia wpłynęła na jego stanowisko w sprawie Bessie, ale teraz Robert po prostu mówi, aby mówić, bez zastanowienia. Musiała się opanować, nie reagować na zaczepki.

– Zbliża się pora obiadowa – powiedziała. – Ciekawe, kiedy wróci Bessie.

– Dlaczego nie pojedziemy do restauracji? Matka na pewno przyrządzi sobie coś, gdy tylko przyjedzie. Teraz, kiedy odkryła, że lubi gotować, nie ma powodu do obaw o jej posiłki. Enchilado, które zrobiła, było bardzo smaczne. Zważywszy, że nigdy wcześniej nie gotowała, robi naprawdę duże postępy.

– Robercie – rzekła Winter, splatając ręce na piersi. – Czy przeszedłeś może w ciągu ostatnich kilku minut transplantację mózgu?

Roześmiał się.

– Zabawne. Przysięgam, Winter, masz dosyć oryginalne poczucie humoru. Transplantację mózgu! – Zachichotał i potrząsnął głową. – Wspaniale.

– Robercie...

– Nadszedł już chyba czas znaleźć miejsce dla nowej świecy, nieprawdaż? Gdzie chcesz postawić sowy? Zakochane sowy?

– Na... na półce nad kominkiem.

– Doskonale – rzekł i skierował się do obrotowych drzwi. – O tym samym myślałem jeszcze w sklepie. – Zatrzymał się i spojrzął przez ramię na Winter. – Idziesz?

– Tak, oczywiście.

Gdy znaleźli się w pokoju dziennym, Robert wyciągnął pakunek i zaczął go ostrożnie rozwijać.

Miłość jest dziwna, myślał. Siedzi tu, dyskutując o obiedzie i świecach, podczas gdy jego wieki temu ułożony życiowy plan ląduje na śmietniku. Przystosowuję się rzeczywiście bardzo szybko, dumam, ale miłość to ogromna siła. Miał tylko nadzieję. Modlił się, aby ta siła rozniosła w proch także i ogromny mur Winter.

– Świetnie, chodźmy – rzekł, trzymając w dłoniach sowy.

Winter przeszła przez pokój i stanęła obok niego przy kominku. Spojrzała wpierw na sowy, później na Roberta.

– Są naprawdę urocze – powiedziała zduszonym głosem. – Gdyby nie knoty, można by przysiąc, że są prawdziwe. Aha, Robercie, nie wierzę, że nocą zmieniają się w upiory.

– Bo nie mogą się zmienić.

– Co masz na myśli?

– Mają inne zadanie – rzekł poważnie. – To są zakochane sowy. Przedstawiają cud miłości między dwojgiem ludzi. Nie mają czasu przerażać ludzi. To, co robią, jest daleko ważniejsze.

Pochyliła się ku niemu delikatnie, patrząc nań tak, jak gdyby właśnie wyznał jej, że w poprzednim życiu był wojownikiem z plemienia Apaczów.

– Robercie, czy słyszysz, co mówisz? Powiedziałeś, iż masz nadzieję, że twoja matka dobrze się bawi na wyjeździe, a wcześniej ciskałeś na nią gromy, twierdząc, że jest na takie wyczyny za stara. Wychwalałeś jej umiejętności kulinarne, choć wcześniej kpiłeś z nich. Teraz łapię cię na dziwacznych fantazjach, że sowy z wosku mają za zadanie łączyć ludzi, nie mają więc czasu być upiorami. Mówisz jak prawdziwy romantyk.

Wstrząsnęła głową.

– To szaleństwo. Jesteś szalony. W patio perorowałeś o miłości, niezakochiwaniu się i tym podobnych rzeczach tak pragmatycznie, jakby to był twój kolejny biznes. – Zamilkła na chwilę. – No więc? Co masz do powiedzenia?

– Tak. Mogę już postawić je na półce? Palce mi drętwieją.

Wzniosła oczy ku niebu.

– Tak, Robercie, postaw sowy na półce.

– W porządku.

Podniósł ręce tak powoli, że Winter wstrzymała oddech, zahipnotyzowana wrażeniem, że to, co trzymał, wykonane było z najdelikatniejszej substancji, najbardziej kruchej spośród znanych ludzkości. Poczwała nagły ból w piersi. Westchnęła głęboko. Cały

czas uważnie obserwowała jego ręce.

Położył sowy na półce, po czym ostrożnie cofnął dłonie. Obydwoje patrzyli na dwa ptaki. Nic nie mówili, nie ruszali się. Pokój zdawał się zanikać, zostali tylko oni i sowy, i różowa, zmysłowa mgiełka wokół nich.

Wraz z niesamowitą mgiełką przyszedł dreszcz pożądania. Serca zabiły w szaleńczym rytmie. Działając jak w transie, skierowali wzrok na siebie. Namiętność pulsowała głęboko w nich, oczy przekazywały wiadomości o wzajemnej potrzebie, niezaprzeczalnej i nieprzepartej.

Winter aż zadrżały kolana od bezmiaru uczuć, jakiego dotychczas nie zaznała. Lecz nie dający się uspokoić głos rozwagi ostrzegał ją przed spodziewanym bólem serca.

Uciekaj, powiedziała sobie. Musiała uciec od hipnotyzującego zaklęcia, nie pozwalającego na najmniejszy ruch.

Pomyśl, żądał jej umysł. Musiała pamiętać o bólu, którego doświadczyła kochając. Musiała schronić się za swój mur; tylko tam była bezpieczna. Miłość może być na początku delikatna, później zjawiają się kłamstwa, ciosy, mogące rozbić serce kobiety na tysiące części.

Robert zbijał Winter z tropu nagłymi zmianami nastroju. Niszczył, rozbijał jej mur. Może niebawem odsłonić ją i uczynić podatną na ciosy. A wtedy wyjedzie, zniknie z jej życia. Jeżeli nie

oprze się, jeśli ulegnie, zostanie wkrótce samotna i nieszczęśliwa.

Robert położył ręce na ramionach Winter, palcami powoli gładząc jej szyję. Jego spojrzenie prześlizgiwało się po jej twarzy, wargach, wreszcie zatrzymało się na jej oczach.

– Winter wykrztusił – chcę być z tobą. Kocham cię. Nie obawiaj się mnie i tego, co jest między nami. Nie zranię cię nigdy. Bo cię kocham.

Winter bezskutecznie próbowała powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Dwie pierwsze stoczyły się po *jej* policzkach.

– Proszę, Robercie, zostaw mnie samą – powiedziała, z trudem wydobywając z siebie głos. – Cokolwiek jest między nami, nie chcę, by to trwało dłużej. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

– Winter...

– Nie. – Odsunęła się tak, by musiał ją puścić. – Dlaczego nie wierzysz, gdy mówię ci, że się nigdy nie zakocham? Czy to jest nowe wyzwanie dla ciebie, obnażające w tobie samcze cechy, zmuszające cię do zdobycia mnie przed wyjazdem z Tucson? Potem oczywiście wrócisz do swojego ułożonego życia, do miejsca, w którym byłeś, zanim w nie wtargnęłam.

– Nic nie rozumiesz, Winter. Sprawiasz, że płacę za to, co zrobił ci dawno temu inny mężczyzna. – Położył rękę na sercu. – To ja, Robert Stone. Tamte czasy minęły. Boże! Winter, daj mi szansę. Daj nam szansę.

– Szansę na co? Na romans podczas twojego pobytu? Niewinne swawole na sianie? Oczywiście, tylko wtedy, gdy masz wolny czas, gdy nie jesteś zajęty namawianiem niesfornej matki do powrotu? Nie, dziękuję, Robercie. Poddaję się. Zwyczajny seks nie jest w moim stylu.

– Nie mówię o zwyczajnym seksie! – jęknął.

– No to o czym?

– O miłości. Kocham cię. To diabelnie wielka różnica, panno Winter Holt.

– A teraz grasz ze mną w słówka, Robercie. Efekt będzie ten sam. Wyjedziesz z Tucson najszybciej, jak tylko będziesz mógł. Jestem pewna, że nie przywykłeś, by kobieta mówiła ci takie słowa, słuchaj więc uważnie. Słowo brzmi „nie”, n i e. Nie mam zamiaru...

Dzwonek telefonu przerwał tyradę Winter. Podeszła do aparatu i podniosła słuchawkę.

– Halo?... Tak, tu Winter Holt... Nie rozumiem... Och, nie... Co?, .. Tak, oczywiście, zaraz będę... Tak, tak. Już wychodzę.

Odłożyła słuchawkę na widełki i przepełnionymi strachem oczami spojrzała na Roberta.

– Dzwonili z hotelu *Chincagua*. Dostali właśnie wiadomość, że Bessie podczas pobytu w Old Tucson nagle zachorowała. Zostawiła moje nazwisko i numer telefonu. Wyjazd do Old

Tucson zorganizowali pracownicy hotelu... Boże, Robercie, Bessie jest w szpitalu St. Mary! Musimy tam pojechać. Powiedziałam, że niezwłocznie przyjadę.

Ruszyła do drzwi. Po drodze chwyciła torebkę.

– Do diabła! – powiedział Robert, podążając za nią. – Co się stało z moją matką? Czy mówili coś jeszcze? Co znaczy „nagle zachorowała”?

Będąc przy drzwiach, Winter spojrzała na Roberta.

– Nie wiem, co się stało. Powiedziałam ci wszystko, co wiedziałam. Robercie, Bessie potrzebuje nas i musimy się spieszyć. Bessie potrzebuje nas.

Otworzyła drzwi i pobięła do furgonetki.

Rozdział 6

Pielęgniarka w izbie przyjęć była miła i sympatyczna, a z jej głosu przebijało zrozumienie. Mimo ujmującego zachowania nie potrafiła jednak ukryć, że stan Bessie Stone nie jest najlepszy.

– Pani Stone – rzekła uspokajającym tonem – została przywieziona mniej więcej godzinę temu. Cierpi na bóle w piersiach, choć nie są one zbyt intensywne. Właśnie badają lekarz.

Winter zauważyła zaciśnięte szczęki Roberta. Kiedy otwierał usta, by zażądać natychmiastowego widzenia z matką, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Robercie, możemy jedynie czekać. Gdy lekarze postawią jakąś diagnozę, dadzą nam znać. A na razie usiadźmy.

– Oczywiście – przytaknęła pielęgniarka. Wzięła z biurka bloczek. – Proszę wypełnić ten formularz.

– Naturalnie – odparła Winter. Zabrała bloczek wolną ręką. – Chodź, Robercie.

– Posłuchaj... – Drgnął.

– Robercie – powtórzyła Winter, ściskając mocniej jego ramię – chodź...

Popatrzył na nią, na pielęgniarkę, znowu na nią. Pokręcił głową, ruszył do wyłożonej dywanem poczekalni i usiadł na plastikowym krześle.

Winter powoli wyszła za nim. Usiadła obok i podała mu bloczek. Z naburmuszoną miną wypełnił formularz, po czym oddał go wciąż uśmiechniętej pielęgniarce. Kiedy znowu usiadł, wyraz jego twarzy był nie zmieniony.

– Czemu tak długo to trwa? – zapytał ochryple. – Mogliby nam coś powiedzieć.

Winter rozejrzała się po pustej sali.

– Być może są inni chorzy. Na ostrym dyżurze nie przyjmują według kolejności zgłoszeń. Nie mamy pojęcia, od jak dawna lekarz jest przy Bessie.

– Czy to ma poprawić mój nastrój? Do diabła, nie wiem nawet, co się stało. Bóle w piersi, nawet jeśli nie są zbyt dokuczliwe, nie wróżą nic dobrego.

– Rozumiem to, Robercie – odparła cicho Winter. – Ja również bardzo się martwię o Bessie. Musimy zachować cierpliwość. Nie mamy wyboru. Pozostaje nam tylko czekać.

Powiódł ręką po twarzy i westchnął głęboko.

– W porządku – powiedział. – Dochodzę do siebie. Wszystko jest pod kontrolą. – Pokręcił głową. ~W tym formularzu były pytania. „Czy pacjent zażywa jakieś lekarstwa?” Nie wiem. „Czy leczy się z jakiejś szczególnej dolegliwości?” Nie wiem. „Jak się nazywa jego lekarz?” Do diabła, Winter, też nie wiem. Niezły syn, co?

– Nie bądź dla siebie zbyt surowy. Minęło wiele lat, od czasu gdy mieszkałeś z Bessie pod jednym dachem. Nie możesz oczekiwać od siebie znajomości tego rodzaju szczegółów.

– Och! – Spojrzał na nią. – A ty znasz nazwisko lekarza swoich rodziców? Wiesz, jakie lekarstwa zażywają? Znasz stan ich zdrowia?

– No tak, ale...

– Nie przekonałaś mnie. Jestem wyrodnym synem. Oparła się na krzesło i złożyła ręce na kolanach.

– Niech będzie – rzekła, patrząc przed siebie. – Jesteś wyrodnym synem.

– Dzięki. Wyprostowała się i odwróciła do niego.

– Na litość boską, Robercie, przestań! Twoja troska przejawia się w złości. Możesz zrzucić na mnie wszystko, co chcesz, ale jeżeli zamierzasz wrzeszczeć na Bessie, uważaj, bo przestanę cię szanować.

– Przepraszam. Myślę, że część moich problemów wynika z bolesnych wspomnień dotyczących śmierci ojca. Byłem w jego biurze. Pracowaliśmy wtedy nad jakąś skomplikowaną sprawą. Nagle na jego twarzy pojawił się straszny grymas, jakby się zdziwił albo coś go wprawiło w zakłopotanie. Powiedział: „Bobby, znajdź matkę. Potrzebuję mojej Bessie” i po prostu osunął się. Nigdy nie odzyskał przytomności... To był koszmar.

– Och, Robercie – powiedziała Winter miękko – to musiało być straszne dla ciebie i dla Bessie.

– Naprawdę nie miałem czasu, żeby przy niej być. Zwróciłem ją w stronę przyjaciół i krewnych. Olbrzymie korporacje nie mogą przerywać pracy tylko dlatego, że syn chowa swego ojca. Narzucono mi stanowisko prezesa. Liczyły na mnie setki ludzi. Natychmiast po pogrzebie wyjechałem do Paryża. Dzwoniłem do mamy regularnie. Wyglądało na to, że dochodziła do siebie. W następnym miesiącu latałem do domu kilkanaście razy. W trakcie ostatniego pobytu w Nowym Jorku dowiedziałem się, że wraz z dwójką przyjaciół zamierza odwiedzić południe kraju.

– A po kilku tygodniach dostałeś list, w którym pisała, że jest u mnie.

Skinął głową.

– Ludzie, którym ją powierzyłem, byli jak najbardziej kompetentni. Kontaktowałem się z nimi parę razy i wszystko szło gładko. Ale...

– Ale co?

– Byłem zły na matkę, bo doszedłem do wniosku, że zbyt dobrze radzi sobie po śmierci ojca. W myślach umieściłem ją na liście spraw, którymi miałem się zająć, a ona przez swój upór i niezależność wywróciła mój plan do góry nogami.

– Rozumiem.

– Rozumiesz? Co rozumiesz? To samo, co ja? To, że jestem samolubnym, egocentrycznym głupkiem, który gdzieś po drodze zapomniał, że Bessie Stone to też człowiek, ludzka istota ze swoimi marzeniami i nadziejami? Że to nie robot, zaprogramowany tak, jakbym sobie życzył? Oczywiście, by nie martwić ojca, zachowywała się tak przez całe lata. Jestem cholernie pewny, że nie pozwoli, abym to ja sterował nią do końca życia. Nie dziwię się, że ją podnosisz na duchu. Stara się robić to, do czego zawsze miała prawo. Zaraz po przyjeździe tutaj słuchałem, ale nie słyszałem, co mówiła.

Położyła rękę na jego ramieniu.

– Jeszcze nie jest za późno, Robercie. Możesz powiedzieć Bessie to, co mnie teraz. Na pewno zauważy, że dorosłeś. Dasz jej cenny prezent: osobowość! Dowie się, że szanujesz ją jako osobę samodzielną, nie potrzebującą opieki. Nie, nie jest jeszcze za późno.

– Skąd mogę wiedzieć? – zapytał. Jego spojrzenie przesłonił ból. – Może miała atak serca! Do diabła, Winter, a co będzie, jeżeli okaże się, że dla niej jest za późno na nowe przygody?

– Proszę, uspokój się. Zdaję sobie sprawę, że całe to oczekiwanie i brak informacji o jej stanie bardzo niepokoją, ale puszczasz wodze swej wyobraźni, a ona podsuwa ci najgorsze rozwiązania. Gdzie jest twój zmysł przywódczy, twoja osobowość

szefa? Robercie, tracisz to. Weź się w garść!

Robert wstał i podszedłszy do okna, oparł ręce wysoko na framudze. Zapadał zmrok, szpitalny parking tonął w jakiejś niesamowitej bursztynowej poświacie.

Tak, tracę kontrolę, myślał. Od czasu gdy wyszedł z samolotu pod palące słońce Arizony, tracił kontrolę nad swym zorganizowanym życiem. Nawet zakochał się – ciałem, umysłem, sercem i duszą.

Zastanawiał się nad swoim stosunkiem do matki. Czuł się winny. Wepchnął Bessie do szufladki z napisem „matka” i spodziewał się, że będzie postępowała tak jak zawsze. Teraz, po czasie, okazało się, że jest zupełnie inaczej, niż sądził.

Do diabła, myślał, to tak, jakbym dotąd nie wiedział, kim jestem. Od czasu spotkania Winter jego życie wywróciło się do góry nogami.

Czy uda się cofnąć wskazówki zegara? – pytał sam siebie. Czy znów stanie się kimś, kim był, nim uległ czarowi Winter? Czy będzie trzymał się kursu, nie całując, nie dotykając Winter, nie tracąc głowy dla niej?

Nie wiedział, czego chce ani kim: jest, , Nie wiedział nic.

– Panna Holt? Pan Stone? – zapytał niski głos. Odwrócił się. Winter podniosła się z krzesła. Do pokoju wszedł wysoki, szczupły mężczyzna wyglądający na trzydzieści pięć lat, w

ciemnych, luźnych spodniach i białym kitlu. Uśmiechnął się i podał rękę Winter.

– Doktor Pierce – przedstawił się, ściskając dłoń Winter, a następnie dłoń Roberta.

– Jak się czuje moja matka? – spytał Robert.

– Po pierwsze – rzekł Pierce – muszę stwierdzić, że jest uroczą, pełną werwy damą. Jej ochota do życia i jej entuzjazm są wspaniałe. – Potarł dłonią kark. – Jest przykładem żywego temperamentu nie dostosowanego do kondycji fizycznej ciała. Mówiąc ściśle, chodzi mi o jej serce.

Winter poczuła lodowaty strach. Nie bardzo wiedząc, co robi, odnalazła dłoń Roberta i ścisnęła ją. Robert odwzajemnił uścisk.

– Co?... – zaczął Robert. Odchrząknął i dokończył: – Co złego jest z sercem mojej matki?

– Wysyła sygnały alarmujące – rzekł lekarz. – Że pani Stone pakuje się w tarapaty. Miała drugi łagodny... łagodny, podkreślam, atak serca. Wezwałem specjalistów, aby zbadali wyniki EKG. Potwierdzili moją diagnozę.

– Jaką? – zapytał Robert.

– Pani Stone może mówić o dużym szczęściu. Jej serce zaczęło dawać niepokojące sygnały jeszcze przed poważnym uszkodzeniem, dzięki czemu można panować nad sytuacją, uprzedzić wypadki. Są jednak pewne kwestie sporne.

– Jakie? – spytała Winter.

– Rozmawiałem z panią Stone przez jakiś czas – odparł doktor Pierce. – Chciałem się od niej czegoś dowiedzieć; nie wiem przecież, kiedy i na co chorowała. Jej problemy z sercem mogą wynikać z jej wcześniejszych schorzeń. Powiedziała mi też, że mieszka tutaj, aktualnie przebywa u pani, panno Holt, że zamierza wynająć dom na zimę, uczęszczać na odczyty, koncerty, jeździć na wycieczki po okolicy, a nawet polecieć do Nowego Jorku, gdy przyjdzie jej na to ochota. I o to właśnie rozpoczęliśmy kruszyć kopie.

– Pan tego nie pochwała? – zapytał Robert.

– I tak, i nie. Nie chcę tłumić dobrych intencji pani Stone, jej chęci przygód, ale muszę być ostrożny. Nie mówię, że już nigdy nie będzie mogła robić tego, na co ma ochotę, ale teraz są rzeczy ważniejsze. Według mnie, pańska matka powinna wrócić do Nowego Jorku i przez jakiś czas przebywać pod opieką jej wieloletniego prywatnego lekarza. Może on zarządzić dalsze badania, przepisać dietę, zalecić jakieś ćwiczenia, ogólnie: pilnować jej. Być może niedługo...

– Rozumiem – rzekł Robert ponuro.

– Ten lekarz zna Bessie Stone. Ma znacznie większe szanse, by doprowadzić jej zdrowie do porządku. Wówczas pani Stone może wrócić do Tucson i dokończyć to, co zaczęła. Ale teraz sędzę, że

powinna pojechać do domu.

– Nie – powiedziała Winter. – Och, doktorze, czy nie widzi pan, jak istotny jest dla Bessie pobyt tutaj? Przecież w Tucson jest kilku doskonałych kardiologów. Dlaczego Bessie nie może postąpić jak mieszkaniec tych stron szukający właściwej opieki medycznej? Nasz upór przy namawianiu jej na powrót do Nowego Jorku tylko pogorszy sprawę. Myślę o jej morale, ojej cudownej determinacji, ojej... Nie. Trzeba wymyślić coś innego niż wysłanie jej do Nowego Jorku na... remont.

– Winter – powiedział Robert, puszczając jej rękę – jestem pewien, że doktor dobrze wie, co będzie dla mojej matki najlepsze.

– A co będzie najlepsze dla ciebie? – spytała, obracając się w stronę Roberta. – Co się stało z twoim głębokim niepokojem, że może być za późno, by Bessie robiła to, do czego ma prawo? To bardzo wygodne dla ciebie, prawda? Możesz zostawić Bessie w Nowym Jorku, jak pierwotnie zamierzałeś, i wrócić do swoich spraw. Ale teraz nie chcesz grać złego człowieka. Możesz powiedzieć: „To są zalecenia lekarza, droga mamó” i „To już koniec, lalczko”.

– Posłuchaj, Winter...

– Proszę o wybaczenie – rzekł doktor Pierce, uśmiechając się lekko. – Mamy tu wystarczająco dużo pracy i to bez podwójnego

morderstwa w poczekalni. Czy nie możemy przedyskutować wszystkiego spokojnie?

Winter zaczerwieniła się w zakłopotaniu.

– Tak, oczywiście – powiedziała. – Bardzo przepraszam.

– Naprawdę nie widzę tematu do dyskusji – powiedział Robert.

Zakłopotanie Winter prysło jak bańka mydlana.

– Robercie, zamknij się.

– Och – jęknął doktor Pierce, unosząc rękę. – Czy mogę coś powiedzieć? Przedstawiłem wam oraz pani Stone moją opinię i moje zalecenia. Chyba jednak zapominacie, że pani Stone jest w pełni władz umysłowych. Może wszystko przemyśleć i podjąć decyzję samodzielnie.

– A inaczej mówiąc – rzekła Winter – mamy się nie wtrącać.

– Och, jestem pewien, że wyrażacie swoje opinie w dobrych intencjach – powiedział doktor – jednak ostatecznie Bessie Stone postąpi tak, jak sobie naprawdę życzy.

– Wspaniale – wymamrotał Robert.

– Czy możemy ją teraz zabrać do domu?

– Nie. Zatrzymam ją na noc na obserwacji. Być może jest to zbędne, lecz wolę sam rozstrzygać takie kwestie. Pani Stone jest w pokoju 211. Może z nią parę minut porozmawiać, a potem jedźcie do domu. Zaleciłem jej długi i spokojny sen.

– W porządku – powiedziała Winter.

– I nie kłóćcie się przy niej – dodał doktor. – Nie poruszajcie w ogóle tematu wyjazdu z Tucson. Zrozumiano?

– Tak – odparli posłusznie.

– Kiedyś będę chyba dobrym ojcem – powiedział doktor Pierce.

– Dobranoc.

– Dobranoc – rzekła Winter.

– I dziękuję – dodał Robert.

Lekarz wyszedł i w poczekalni zapadła cisza. Każde z nich wbiło wzrok w jakiś punkt na ścianie i wpatrywało się weń jak w jakiś fascynujący obraz. Wolno płynęły sekundy.

– Cóż – powiedział w końcu Robert – myślę... myślę, że powinniśmy pójść na górę, – Tak.

Jednocześnie obrócili głowy i spojrzeli sobie w oczy.

– Czy czujesz się, jakby ktoś wymierzył ci policzek? – zapytał Robert, uśmiechając się z lekka.

– Raczej jak gdyby ktoś sprawił mi lanie – odparła Winter, również się uśmiechając. – Chociaż... wierzę doktorowi. Wygląda na osobę kompetentną. – Jej uśmiech zgasł. – Zachowaliśmy się jak dzieci kłócące się o jakąś nagrodę, której obydwójce pragną. Oczywiście, Bessie jest żywą osobą. Przepraszam za moje zachowanie i za to, co powiedziałam. Wiem, że kochasz matkę i życzysz jej jak najlepiej. Powinnam trzymać się z boku i nie odzywać się, ale nie byłam w stanie. Bessie jest mi bardzo bliską

osobą. Skinął głową.

– Rozumiem to. Nie wątpię, że najchętniej widziałabyś ją szczęśliwą. Jesteś jej przyjaciółką, więc to jest najważniejsze, natomiast ja jestem jej synem i mam więcej zobowiązań. Chodźmy, by powiedzieć jej „dobranoc”, dobrze?

– Dobrze.

Musnął ustami jej usta, otoczył ją ramieniem i wyszli z poczekalni w poszukiwaniu windy. Przycisnął Winter do siebie; nie zaprotestowała.

Tak dobrze być blisko niego, myślała, czuć dotyk i ciepło jego muskularnego ciała. Uzupełniali się jak dwa ziarenka w strączku, jak dwie sowy na gałęzi.

O nie, pomyślała Winter, zapomnij o zakochanych sowach. To tylko świece, nic więcej. Tylko zmyślnie wykonane z wosku przedmioty.

Odnaleźli pokój. Robert lekko zastukał do drzwi.

– Proszę wejść – usłyszeli stłumiony głos. Weszli do środka i ujrzeni wspartą na poduszkach Bessie. Miała na sobie szpitalną koszulę nocną, białą w cienkie zielone paski. Bessie była blada, lecz się uśmiechała.

– Witamy – powiedział Robert i pocałował matkę w policzek.

– Do licha, kochani – rzekła Bessie – tak mi przykro za ten kłopot. Nie ma powodu, aby tu nocować, ale doktor Pierce jest

nieustępliwym młodym człowiekiem.

– Możemy tu być tylko przez chwilę – powiedziała Winter. – Doktor Pierce nam pozwolił.

Bessie przestała się uśmiechać i westchnęła.

– Bobby, sądzę, że to, co się stało, dostarczy ci nowych argumentów na moją niekorzyść.

– Żadnych argumentów – wtrąciła się Winter. – Doktor Pierce zabronił. – Pochyliła się i pocałowała Bessie w policzek. – Tak się cieszę, że czujesz się dobrze. Zobaczymy się jutro.

– Zadzwoń, kiedy będziesz wychodzić – powiedział Robert. – Przyjadę po ciebie.

– Dobrze – Bessie skinęła głową.

– Hej! – rzucił wesoło Robert. – Nie bądź taka smutna. Nikt nie lubi siedzieć w szpitalu, ale to tylko jedna noc.

– Nie o to chodzi, mój drogi. Wszyscy są tutaj bardzo uprzejmi. To sytuacja mnie denerwuje. Och, już sama nie wiem. To tak, jak gdyby ktoś mi powiedział, że zachowuję się jak stara, głupia kobieta... Wiesz... te moje plany, przygody, rozkoszna niezależność.

– Bessie... – Winter chciała coś powiedzieć, lecz nagle zamilkła.

– Może – ciągnęła Bessie – to ty masz właściwe podejście do życia; zaplanować, a potem trzymać się planu. Bóg jeden wie, czy

twój ojciec osiągnąłby to wszystko, postępując w inny sposób. Próbowałam wprowadzić poważne zmiany w swoim życiu i popatrz, co z tego wyszło? – Splotła ręce i utkwiała w nich wzrok. – Czuję się pokonana. Nie chcę wracać do Nowego Jorku, powiedziałam to zresztą doktorowi Pierce’owi, ale gdy tak siedzę, sama myślę... O Boże... – Łzy spłynęły jej po policzkach.

– Mamo – powiedział delikatnie Robert, kładąc na jej dłoniach swoje – nie martw się, nie dziś. Jesteś wyczerpana, przestraszona. Pojedziemy teraz do domu, a ty sobie odpoczniesz. Bessie uwolniła ręce i otarła łzy.

– Tak, jestem bardzo zmęczona. Ale posłuchajcie mnie jeszcze przez minutę. Chcę wam coś powiedzieć. Otóż odkryłam, że w pewnych rzeczach mogłam się mylić. To ja doszłam do wniosku, że tryb życia mojego męża był zbyt sztywny. Ja ustaliłam, że ty, Bobby, postępujesz tak samo i to jest złe. Ja stwierdziłam, że postanowienia Winter, myślę o życiu w samotności, są bezsensowne, bo przecież byłaby taką wspaniałą żoną i matką. – Westchnęła. – Ale kim jestem, żeby tak osądzać innych? Nie mogę nawet zmienić swojego własnego życia, niech więc inni sami decydują, co dla nich najlepsze. Czuję się taka...

– Co tu się dzieje? Co to wszystko znaczy? – niespodziewanie do rozmowy włączył się jeszcze jeden głos.

Odwrócili się i ujrzeli stojącą w drzwiach pielęgniarkę. W rękę

trzymała tackę z papierowym kubkiem.

– Pani Stone – powiedziała łagodnie – ma pani dreszcze. Doktor Pierce powiedział, że wszystko, co może panią zdenerwować, trzeba odłożyć do jutra. Przyniosłam śliczną różową pigułkę, po której będzie pani spać jak niemowlę. Ci uroczy młodzie ludzie wyjdą teraz i pójdą robić to, co takie urocze młode pary w dzisiejszych czasach robią. Pożegnajcie się.

– Ta pani ma absolutną rację – powiedział Robert. – Chodź, Winter. Już nas tu nie ma.

– Dobrej nocy, Bessie – pożegnała się Winter.

– Dobranoc – odpowiedziała Bessie, siląc się na uśmiech.

Nim weszli do pokoju dziennego, Winter zauważyła, że od wyjścia z pokoju Bessie nie odezwali się ani słowem.

– Zagłębiliśmy się we własnych myślach – stwierdziła, kładąc torebkę na krzesło. Zapaliła kilka lampek i z westchnieniem opadła na sofę. – Słowa Bessie tłuką mi się w głowie jak piłeczki pingpongowe, Robert usiadł obok niej.

– To dziwne, czuję się dokładnie tak samo. Boże, wszystko tak nagle się powikłało.

Skinęła głową.

– Tak.

– Może dojdziemy do sensownych wniosków, jeżeli przedyskutujemy to razem. Co o tym myślisz, Winter?

Odwróciła twarz w jego stronę.

– Myślałam o Bessie, o jej chęci do zmiany swego życia, odkrywania nowych przyjemności.

– Śmiało – zachęcił.

– Ale ona wszystko tak pogmatwała. Wygląda na to, że powinniśmy przemyśleć nasze podejście do życia pod kątem szczęścia Bessie. Czy mam rację?

– Tak. Jesteśmy na fali o tej samej długości. Wyjaśniłaś to bardzo dobrze. – Uniósł wzrok i popatrzył na zakochane sowy. – Moja matka nie ma racji. Nie pomyliła się, kiedy mówiła, że moje uporządkowane życie i twoja deklaracja niezakochiwania się są absurdalne.

– Ale...

– Poczekaj. – Spojrzał znowu na nią. – Daj mi powiedzieć. Matka nie ma racji, mówiąc, że jej pragnienie zmian jest głupie. Ma prawo do tego i nie będę jej przeszkadzać.

– Och, Robercie, cudownie.

– Winter, chciałbym, żebyś jeszcze o czymś wiedziała. – Pochylił się ku niej i ujął jej rękę. – Kocham cię, Winter Holt. Zakochałem się co prawda pięć lat za wcześnie, ale co mi tam. Dla mnie te dwie zakochane sowy na kominku to my. Naprawdę cię kocham.

– Nie – wyszeptała. – Nie możesz mnie kochać, bo ja nie

chę... Ale... Och, Robercie, nie rób mi tego.

– Za późno – powiedział, patrząc jej w oczy. – Kocham cię, Winter.

– Nie.

– Tak.

Zamknął jej usta pocałunkiem. Winter momentalnie zeszywniała, jej umysł krzyczał: „Nie!”. Ale jej serce wtórowało jego słowom.

Kocham cię, Winter. Robert ją kochał. To było wspaniałe, to było...

Nie! Miłość kończy się złamanym sercem. Miłość niepokoje. Miłość to oddanie się pod czyjąś opiekę i strach, czy ten ktoś nie zniszczy uczucia. Nie chciała, żeby Robert ją kochał, i nie chciała kochać Roberta.

Ale kochała go.

Robert drażnił jej rozchylone usta językiem, jej ciało zdawało się topnieć. Schwyciła go ramionami. Ich języki zetknęły się, tańcząc, wirując, wzmagając namiętność.

Przygarnął ją do siebie, nie przerywając pocałunku. Jego dłonie błądziły po jej plecach, prowokując ją i podniecając.

Winter starała się myśleć logicznie. Wiedziała, że powinna uciec od Roberta tak daleko i tak szybko, jak to możliwe, lecz trawił ją ogień pożądania, mogła jedynie ustąpić zmysłom.

W jej zamglonym namiętnością umyśle tylko jedna wiadomość była czytelna: kocha Roberta Stone'a.

Zrobiłem to, myślał Robert. Powiedziałem jej głośno, że ją kocham; czuję się tak dobrze, tak cholernie dobrze. Wiedział, że Winter będzie walczyła ze swym zauroczeniem, ale wiedział też, że on wygra. Musiał wygrać. Walczył przecież o życie, życie z Winter.

Jego ręce ześliznęły się po jej biodrach, szortach, wreszcie nagich udach. Dotyk jej aksamitnej skóry sprawił, że poczuł w całym ciele ból. Pragnął jej.

Winter czuła się niczym zamknięta w przyjemnym, bezpiecznym kokonie uczuć. Była w nim razem z Robertem, mężczyzną, którego kochała, i nikt ani nic nie mogło przedostać się do ich skrawka nieba. Żadne upiory przeszłości nie mogły tam wejść.

Jedynie zakochane sowy, myślała, mają prawo wstępu do naszego prywatnego świata. Sowy przedstawiające Winter i Roberta połączonych uczuciem, którego nikt nie potrafi zniszczyć. Nic nie mogło unicestwić miłości, która złączyła ich w jedno trwałe istnienie.

Nie chciała kochać, ale jakaś siła, większa niż determinacja umysłu, dotknęła jej duszy i stopiła lodową barierę wokół serca. Mur Roberta także legł w gruzach. Kochał ją, ona kochała jego i

chciała kochać się z nim, by unaocznić to, o czym wewnętrznie dawno już była przekonana.

– Robercie – wyszeptała – pragnę cię. Chcę się z tobą kochać.

Zadrżał. Starał się panować nad sobą. Spokojnie wypowiedziane słowa Winter w mgnieniu oka doprowadziły go do punktu, skąd nie ma odwrotu.

– Ja też cię pragnę, Winter – powiedział zduszonym głosem – ale myślę... myślę, że powinniśmy poczekać. Nie zniósłbym, gdyby później było ci przykro, gdybyś żałowała tego, co zrobiłaś. Muszę mieć pewność, czy naprawdę tego chcesz. Jestem świadom, że mnie nie kochasz, więc...

– Kocham cię.

– Co?

Uśmiechnęła się łagodnym kobiecym uśmiechem świadczącym zarówno o wewnętrznym spokoju, jak i o miłosnym uniesieniu. Ujęła jego twarz w dłonie i zaczęła palcami wolno gładzić jego rozgrzaną skórę.

– Robercie, powiedziałam ci, że *Wschodzące Słońce* odzwierciedla mnogość uczuć we mnie. To moja siła, przeznaczenie, kwintesencja tego, co mnie tworzy. To również sklep, z którego jestem bardzo dumna. To hołd złożony moim ziomkom. To także ja, Winter Holt, kobieta. Kocham cię, Robercie, tu, w kręgu mego wschodzącego słońca, w tym

szczególnym miejscu, które jest po prostu mną.

– Winter...

Pocałował ją głęboko, łakomie, po czym wstał, unosząc delikatnie Winter, swój słodki ciężar.

– Moja sypialnia jest w końcu holu – rzekła Winter, wsuwając język między jego wargi.

Robert ruszył do sypialni, stanął tylko na chwilę przed kominkiem. Oboje dłuższą chwilę patrzyli na zakochane sowy, a potem spojrzeli sobie w oczy w głębokim zrozumieniu i zaufaniu.

Obrócił się i wyniósł ją z pokoju, niemal pewien, że zakochane sowy patrzą w ślad za nimi.

Rozdział 7

Gdy przekraczał próg, Winter włączyła światło. Małe lampki z indiańskich dzbanków, ustawione na stoliczkach po obu stronach podwójnego łoża, ożyły, zatapiając pokój w delikatnej poświacie.

Robert spodziewał się takiego wnętrza – połączenia stylu zachodniego i indiańskiego, w dyskretnych odcieniach koloru brzoskwiowego, beżu i bladej zieleni. Łóżko okrywała narzuta indiańskiej roboty, meble były dębowe.

Wiszący na ścianie obraz przedstawiał zachód słońca, wtapiający się w majestatyczny górski krajobraz.

Na drugiej ścianie był obraz olejny przedstawiający dwie stojące obok siebie kobiety; tło stanowiła pustynia i góry. Jedna z kobiet ubrana była w perkalową sukienkę i lekki płaszcz; miała jasną skórę i złociste włosy opadające na plecy. Druga była indiańską dziewczyną w jaskrawo umalowanej sukience z wygarbowanej cielejącej skóry; miała śniadą cerę, ciemne, opadające na piersi warkocze i oczy czarne jak bezgwiezdna noc.

Ich postawy znamionowały siłę i zdecydowanie.

Głowy trzymały wysoko, plecy wyprostowane. Patrzyły gdzieś w dal, w jakiś niewidoczny punkt. Robert odwrócił wzrok do Winter i uśmiechnął się.

– Ten pokój to ty. Dwie kultury doskonale połączone. Och,

Winter, tak bardzo cię kocham.

Schyliwszy głowę, domagał się ust Winter, po czym ostrożnie postawił ją na podłodze.

– Powiedz mi raz jeszcze – rzekł, głaszcząc ją po policzku. – Powiedz mi, że mnie kochasz i że tego właśnie pragniesz.

– Kocham cię, Robercie – powiedziała łagodnym głosem – i chcę się z tobą kochać, bardziej niż potrafię to opisać.

Emocje nagle ścisnęły mu krtań; skinął więc tylko głową. Bez słowa jednocześnie rozebrali się i stanęli przed sobą nago.

Drżącą ręką Robert ujął gruby warkocz Winter, rozwiązał go i delikatnie rozczesał włosy.

Gdy odwróciła się do niego, zatopił palce w hebanowy wodospad jej włosów, patrząc, jak spływają na jej piersi niczym jedwabista zasłona.

– Jesteś śliczna – mówił – śliczna...

Uśmiechnęła się do niego, obserwując z uwagą każdy fragment jego ciała. Jego barki były tak szerokie, ramiona tak wspaniale zbudowane, muskularne. Wilgotne kręcone włosy na jego piersi były o ton jaśniejsze od tych na głowie. Miał długie nogi i wspaniale zarysowane mięśnie ud i łydek.

I pragnął jej; jego męskość bezczelnie to okazywała.

– Ty też jesteś piękny – powiedziała, patrząc w jego rozgorączkowane oczy. – *Nanta*.

– Co?

– *Nanta* jest słowem z języka Apaczów. Oznacza przywódcę, osobę krzepkiego ciała i umysłu, otoczoną powszechnym szacunkiem. Och, Robercie, kochajmy się.

Zdjąwszy koc, odsłoniła świeże białe prześcieradło. Uniósł ją i ułożył na łóżku. Wyciągnął się obok niej i oparłszy się na jednej ręce, powiodł drugą po jej włosach, tworząc obsydianowy wachlarz na poduszce.

Potem schylił głowę i pocałował ją głęboko, zatracając się w powodzi zapachów, dając ujście trawiącej go namiętności.

Winter przymknęła oczy; smakowała wirujące w sobie uczucie. Żar leniwie pulsował w jej ciele. Z ulgą przywitała ból pożądania jej rozbudzonej kobiecości.

Jęknęła w delikatnym proteście, gdy przerwał pocałunek. Chwilę później westchnęła, czując dotyk jego ust na piersiach i delikatne ruchy języka wokół sutki. Z jej gardła wydobył się cichy pomruk zadowolenia. Powiodła rękami po plecach Roberta, rozkoszując się dotykiem rozgrzanej, gładkiej skóry na potężnych mięśniach.

Pieścili się, całowali, w zachwycie odkrywając tajemnice swych ciał. Szeptali sobie czułe słówka, nie bardzo zdając sobie sprawy, że płyną one prosto z ich serc.

– Och, Robercie – wyszeptała Winter – proszę, proszę...

– Tak, Winter. O tak...

Przesunął się nad nią, opierając ciężar ciała na ramionach, i pocałował. Odetchnął głęboko.

– Kocham cię.

– I ja cię kocham.

Wszedł w nią powoli, obserwując, czy na jej twarzy nie widać śladów bólu; zobaczył jednak tylko błyski pożądania. Objął rękami jej lśniąca ciało. Jej nogi splotły się z jego mocnymi udami. Zachęcała go, pragnęła.

Pchnął głębiej i przez moment leżał cicho, oszołomiony jej uczuciem. A potem zaczął kołysać się w rytmie, który ona w ułamku sekundy podchwyciła. To było piękne. To była ekstaza, stapianie się w jedno istnienie. Byli sobie bliźsi niż dwie zakochane sowy na gałęzce. Już nie potrafili rozróżnić, gdzie kończą, a gdzie zaczynają się ich ciała. Zagubili się w nagłym upragnionym orgazmie, który nadszedł w eksplozji falujących spazmów, pochłaniając ich niemal jednocześnie.

Przyłgnąwszy do siebie, wzywali swoje imiona. Dryfowali po morzu namiętności, gromadząc wspomnienia najdoskonalszego połączenia.

Powoli, z ociąganiem wracali do rzeczywistości. Robert przewrócił się na plecy, pociągając za sobą Winter. Leżała teraz na nim, wtulając głowę w jego tors, a on gładził jej włosy. Czekali

tak, aż rozwieje się mgiełka zmysłów, a serca wrócą do normalnego rytmu.

– Nieprawdopodobne – powiedział w końcu.

– Tak.

– Pierwszy raz naprawdę kochałem, Winter. To, co dotychczas robiłem, to był zwykły seks, odprężenie fizyczne. Teraz już to wiem.

– Tak.

– *Para-ah-dee-ah-tran* ~ wyszeptał. – Jestem zadowolony.

– *Para-ah-dee-ah-tran* – zawtórowała.

– Ach, Winter, to będzie fantastyczne. Pojedziesz ze mną do moich biur w Paryżu, Rzymie, Londynie, Nowym Jorku. Zobaczymy wszystkie godne zwiedzania miejsca, wszystkie zaułki tych miast. Później, gdy zdecydujemy się powiększyć rodzinę, wybierzemy sobie miejsce i kupimy wielki dom z ogrodem i drzewami. Zorganizuję swój czas tak, bym nie musiał zbyt dużo podróżować. Przerzucę więcej odpowiedzialności na wiceprezesów, będę częściej przy dzieciach i zostanę dobrym ojcem. Północna część stanu Nowy Jork jest piękna, wiem o kilku wytwornych domach tonących w zieleni. I wtedy... – Nagle zauważył ze zdziwieniem, że Winter zeszywniała i uniosła głowę, wpatrując się w niego.

– Robercie... Zachichotał.

– Chyba czegoś zapomniałem? Drobiazg. Nie poprosiłem cię oficjalnie o rękę. Panno Holt, czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną?

– Myślę – odparła – że chodzi raczej o to, że jedna osoba nie może żyć tylko miłością.

– Nieważne. Na czym się zatrzymałem? Aha, planowaliśmy przyszłość.

Westchnęła.

– Nie, Robercie, to ty planowałeś przyszłość. Ja też mam głos, mam swoje zdanie.

– Tak, oczywiście. Powiedz, co ci się nie podoba, a zmienimy to.

Ułożyła poduszkę pod zagłówkiem i usiadła, zakrywając nagie piersi prześcieradłem.

– Prawie wszystko mi się nie podoba – rzekła, patrząc przed siebie.

Zmarszczył brwi i ułożył poduszkę, tak by móc usiąść obok niej.

– Winter, powiedz mi, co jest złego w moich pomysłach.

Odwróciła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Robercie, żyję w Tucson, w Arizonie, na pustyni, którą uwielbiam. I to daje mi spokój. Mam sklep, z którego jestem bardzo dumna. Zaczynałam od zera i pracowałam ciężko, aby

osiągnąć to wszystko.

Pokręciła głową. Jej zmierzwiłone włosy zawirowały.

– Pomijasz mój dom i moją egzystencję tutaj, jak gdyby były zupełnie nieistotne. Mam to wszystko rzucić? .. – Machnęła ręką, zsuwając prześcieradło. Szybko naciągnęła je z powrotem pod szyję. – Chcesz, żebym podróżowała z tobą? A co mam robić, gdy będziesz prowadził interesy? Siedzieć jak jakaś ozdoba i czekać, aż znajdziesz czas dla mnie?

– Winter...

– Chyba zapomniałeś – przerwała mu – że podróżowałam wiele, gdy byłam piosenkarką. Miałam występy w większych miastach tu, a także w Europie. Żyłam na walizkach, z hotelu do hotelu, czasem zapominając, gdzie jestem. Pamiętam, jak z hotelowych firmówek dowiadywałam się, w jakim mieście jestem.

– Nie będzie tak. Będziemy w jednym miejscu tygodniami, nawet miesiącami.

– Och, Robercie, nic nie rozumiesz. Tygodnie, miesiące; to nie to, co na stałe. Będziemy żyć w hotelu lub w umeblowanym wynajętym budynku. Budynek, Robercie, nie – domu. Te dwa słowa nie są dla mnie tym samym. Styl życia, który mi proponujesz, nie jest tym, czego potrzebuję dla osiągnięcia wewnętrznego spokoju.

– Ale będziemy razem... czy to mało?

– Oczywiście nie, ale... ale to nie wystarczy. Co się stanie z moim sklepem, ze *Wschodzącym Słońcem*!

– Winter, mówisz o małym sklepie, w którym sprzedaje się turystom pamiątki, i przyrównujesz go do multimilionowej korporacji. Nie spodziewaj się, że będę Ul siedział w środku zapomnianej przez Boga i ludzi pustyni, kręcąc młynka palcami, podczas gdy ty będziesz kupczyć wypalanymi w owczych bobkach miseczkami. Daj spokój, Winter. Bądź rozsądna.

Winter z trudem pohamowała gniew, obruszona protekcyjnym tonem słów Roberta.

– Jestem gotowa pójść na ugodę w tej sprawie, ale w tej chwili nie mam pewności, co byłoby dla nas najlepsze. Widzisz, to tak, jakbyś wychodził z za muru, długo, wystarczająco długo, by móc się we mnie zakochać, a teraz chciałbyś znowu wgramolić się za ten mur razem ze mną – wszystko zgodnie z ułożonym przez siebie planem naszego wspólnego życia. A ode mnie oczekujesz porzucenia wszystkiego, co ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, i tego, że potulnie pójdę za tobą, mając błogi wyraz twarzy jak u panny młodej i będąc pełna głupiej nadziei. Nie mogę tak, nie chcę.

Robert skrzyżował ramiona na piersiach.

– No, świetnie. Co więc proponujesz? Uśmiecha ci się supernowoczesne małżeństwo, w którym dwoje ludzi żyje z dala

od siebie, kontaktując się tylko wówczas, gdy zaistnieje taka potrzeba? Według jednego z moich przyjaciół, psychologa, takie rozwiązanie lub każde inne, które nie mieści się w ramach ogólnie przyjętych norm, nazywa się „rozwiązaniem konstruktywnym”. Zdaje się, że jest to środek, dzięki któremu dwoje kochających się ludzi może trwać w związku małżeńskim, nie wyrzekając się niczego. Mój przyjaciel uznał, że to wspaniałe panaceum na jego problemy małżeńskie. Ja osobiście uważam, że to odrażające.

– Robercie, posłuchaj...

– Nie. Żona powinna być przy mężu. Pamiętam, jak pytałem ojca, czy matka lubi tygodniami siedzieć sama w Nowym Jorku. Odpowiedział, że jest absolutnie szczęśliwa. A jak wiesz, nie była. Jej prawdziwe uczucia ujrzały światło dzienne dopiero tutaj. Nie chcę kombinować jak mój ojciec. Wiem, i mówię to głośno, że pragnę cię mieć blisko siebie, ale ty odmawiasz.

– Mam dla ciebie coś nowego – rzekła Winter pewnym głosem.

– Jeżeli jeszcze choć raz napomkniesz o moim małym sklepiku, gdzie kupczę, powiem ci, gdzie możesz sobie pójść i co robić. Kupczę? Och, to podłe, miseczkami z owczych bobków. *Wschodzące Słońce* jest dla mnie bardzo, bardzo ważne i... Och, mniejsza z tym.

Odwróciła głowę i zaczęła masować palcami pulsujące skronie, dbając, aby prześcieradło nie zsunęło się z jej piersi.

W pokoju zapanowała cisza. Minęło kilka minut.

– Przepraszam, Winter – powiedział w końcu Robert. – To był cios poniżej pasa. Wybacz. Byłem zawiedziony, chociaż... to nie jest wytłumaczenie.

Opuściła dłonie i obserwowała je uważnie.

– No cóż – rzekła miękko – to powinno ci dać lepszy wgląd we frustrację Bessie. Przecież ona chciała zmienić twój punkt widzenia na to, co dla niej ważne.

Skinął głową.

– Tak, i dlatego jeżeli będzie chciała spędzić tu zimę, nie będę jej przeszkadzał. Jej kartę zdrowia można przesłać pocztą. Tym razem słuchałem i słyszałem, co mówiła. Mam nadzieję, że zrobisz to samo.

Spojrzała na niego.

– Ja? Mogą być kłopoty. To ty mnie nie słyszysz. Myślisz, że mogę być bardziej szczęśliwa, porzucając mój dom, moje życie. Robertcie, tak się nie stanie, ale jeżeli będzie możliwy jakiś kompromis, wierzę, że go znajdziemy.

– Nie we wszystkich związkach możliwy jest kompromis – powiedział rozkazującym, szorstkim tonem. – Nie zawsze może być pół na pół. W niektórych wypadkach ktoś musi dać sto procent.

Przewróciła oczami, zirytowana.

– Co więc zrobisz? Ściągniesz kontrolę, żeby sprawdzała, czy udziały są uczciwe? Na miłość boską, Robercie, mówimy o naszym życiu, a nie o transakcji finansowej.

– Zdaję sobie sprawę.

– Czy aby? Robercie! Apacze mają bardzo klarowne podejście do układu mąż-żona. Żadna osoba nie może w jakikolwiek sposób zdominować drugiej. Oni wierzą, że to osłabia człowieka. Zamiast tego zachęcają się nawzajem do rozwoju, wzmocnienia, co czyni ich związek niepokonanym. Osobiście pochwalam i szanuję taką filozofię. Jej efekty widać w małżeństwie moich rodziców. – Złapała głęboki oddech i westchnęła. – Chcąc, bym odrzuciła to wszystko, co dla mnie ważne, starasz się mnie zdominować, i ja nie mogę się na to zgodzić. Zagubiłabym się tak jak wtedy, gdy byłam Bright Winter Star. Zakochałeś się w Winter Holt, ale jeżeli zrobię to, czego ode mnie wymagasz, nie będę tą kobietą. – Obróciła się ku niemu, czując nagłe wyczerpanie. – Robercie, dajmy sobie z tym spokój, przynajmniej do jutra. Mieliśmy dzień pełen niesamowitych wrażeń.

Dotknął jej policzka.

– Tak, masz rację. Zagalopowałem się z tymi planami. Powinienem czuć się jak w siódmym niebie; zakochałem się pierwszy raz w życiu i kobieta mego serca też mnie kocha.

– Pięć lat przed terminem – odpowiedziała z uśmiechem.

Pocałowała jego dłoń i znów na niego popatrzyła. – Naprawdę cię kocham.

– Ja ciebie też. Zobaczysz, wszystko się wyjaśni.

– Tak.

– A na razie... chodź tu.

Zbliżyła się, chcąc uciec od panującego w swym umyśle zgiełku i po prostu cieszyć się miłością, którą wraz z Robertem odnalazła.

Znów powitali wirującą wokół siebie zmysłowość, świadomi, że gdy poddadzą się jej urokowi, ponownie razem będą przeżywać tę samą ekstazę.

Pieścili się, odkrywając wciąż nowe tajemnice swych splecionych ciał. Ich serca biły w zgodnym rytmie, okazywali swoją miłość, balansując na krawędzi rzeczywistości.

Potem zasnęli, kładąc swe głowy na jednej poduszce.

Parę godzin później Winter poruszyła się niespokojnie i otworzyła oczy. Zobaczyła Roberta i jej usta wygięły się w delikatnym uśmiechu. Robert wydawał się taki bezbronny, słaby; wyglądał prawie jak dziecko, jak Bobby.

Wymknęła się z łóżka i podeszła do kontaktu, aby zgasić światło. Wróciła już po ciemku i przytuliła się do Roberta. Czekać na sen, rozkoszowała się żarem bijącym z ciała Roberta.

Ale sen nie nadchodził.

Słowa Roberta, mówiącego o planowaniu wspólnej przyszłości, wciąż brzmiały w jej umyśle. Czuła się przygnieciona ciężarem logiki Roberta.

Stracę swoją duszę, myślała posępnie. Wszystko, co dla mnie ważne, zniknie; będę przedłużeniem Roberta, jego drugą ręką, panią Robertową Stone, żoną pana Stone'a. Winter Holt zniknie, tak jak zniknęła, gdy Bright Winter Star rozpoczęła swój żywot.

Nie mogła pozwolić, żeby tak się stało. Ona i Robert muszą znaleźć kompromis. Udało się zmienić jego przekonanie co do powrotu Bessie do Nowego Jorku. Należało więc namówić go, żeby raz jeszcze wszystko przemyślał – wtedy na pewno zauważy że jego plan jest niezbyt uczciwy, niesprawiedliwy i nie do zaakceptowania przez nią.

Tak, bez wątpienia przyzna, że nie przemyślał dokładnie tych spraw.

Tylko czy na pewno?

Widziała już, jak uparty i stanowczy potrafi być Robert. A co będzie, jeżeli postawi ultimatum: albo będzie tak, jak on chce, albo go straci?

Ale jeżeli go posłucha, straci swoją osobowość.

Tak rozmyślając, zapadła w końcu w niespokojny, nierówny sen.

Rozdział 8

Winter obudziła się i spojrzała na zegarek. Lekko zszokowana, zobaczyła, że jest już prawie dziesiąta. Dawno nie spała tak długo.

Przetarła powieki, by odpędzić resztki snu. Krople deszczu bębniły o dach. Obok na pustej poduszce leżała kartka papieru.

Schwyciła kartkę i usiadła. Wiadomość, napisana wyraźnym, nieco kulfoniastym charakterem pisma, pochodziła od Roberta. Wraca do hotelu, aby tam czekać na sygnał ze szpitala, kiedy może jechać po matkę. Na końcu dodał: „Kocham Cię, Winter”.

Oparła ręce o wezglowie i westchnęła.

– Ja też cię kocham, Robercie – wyszeptała.

Ale to takie niepokojące, pomyślała. Czowała się rozdarta na pół. Jedna jej część pławiła się w rozkosznej świadomości, że kocha i jest kochana, że kochała się z Robertem, i było to piękniejsze i wspanialsze, niż w najśmielszych marzeniach przypuszczała.

Z przyjemnością wyobrażała sobie siebie jako żonę Roberta, jego drugą połowę, dopóki nie rozłączy ich śmierć. Oczami wyobraźni widziała ich dziecko, ciemnowłose i ciemnookie, mające cechy obydwójga rodziców.

Ale zdawała sobie też sprawę z istnienia ciemnej strony tego czarownego scenariusza. Myśli jej i Roberta o kilometr mijają się ze sobą. Stone, Pan Zorganizowany-Do-Przesady, zaplanował już

ich życie krok po kroku. Niestety, plan ten nie uwzględniał ani domu Winter, ani jej dumy i poświęcenia związanego ze *Wschodzącym Słońcem*.

Pokręciła głową. Tyle było przeciwności. Potrzebowali ugody, tylko jakiej? Gdzie był kompromis? Czy w ogóle istniał? Czy też poszukiwali czegoś będącego jedynie pobożnym życzeniem?

Znów spojrzała na zegarek i podniosła się z łóżka. Nie chciała wylegiwać się, kiedy Robert przywiezie Bessie do domu.

Przywiezie Bessie do domu, powtórzyła w myśli, wchodząc do łazienki. Nie, to nieprawda. Bardzo lubiła Bessie, ale jej towarzystwo nie jest wieczne. Bessie wróci do Nowego Jorku albo znajdzie sobie jakieś lokum w Tucson. Bessie jest gościem i wkrótce wyjedzie.

A Robert? – zastanawiała się. Co z Robertem?

Szybko wzięła prysznic i włożyła brązowe sztruksowe spodnie i jaskrawoniebieski sweter. Rozczesała włosy i poszła wypić poranną kawę.

W pokoju dziennym zatrzymała się nagle, utkwivszy wzrok w zakochanych sówach stojących na półce. Powoli zbliżyła się do kominka, uniosła rękę i delikatnie powiodła opuszką palca po ślicznych figurkach ptaków wyglądających jak żywe.

Niespodziewanie w jej oczach stanęły łzy. Patrzyła na siedzące blisko siebie ptaki, tak blisko, że nikt nie mógł ich rozłączyć.

Ale one nie są prawdziwe, myślała. Były tylko iluzją, dziełem wykonanym tak perfekcyjnie, że sprawiały wrażenie żywych. Gdyby jednak przytknęła płonąca zapałkę do knota, воск stopi się i sowy przestaną istnieć. Zakochane sowy uciekną, jeżeli nie będą traktowane z należytą czułością.

Obróciła się i wolno poszła do kuchni.

I taka właśnie jest miłość, rozmyślała. To, co było, może zostać zniszczone, a co mogłoby się zdarzyć, może nigdy nie zaistnieć. Miłość jest silna, ale delikatna. Odpowiednio traktowana, jest nie do pokonania; nieodpowiednio – rozpryskuje się w proch i znika na zawsze.

Stała przy drzwiach do patio i sącząc kawę, obserwowała wiszące w powietrzu strugi deszczu. Błyskawica przecięła niebo, rozświetlając szare ołowiane chmury. Głuchy pomruk grzmotu przetoczył się po niedalekich górach. Burze na pustyni są wspaniałe, pomyślała Winter. Są jak pierwotna przyroda; twarde i pełne siły, niszczące wszystko; surowe, ale i uczciwe.

– Cześć! Cześć! – znajomy głos przywrócił Winter do rzeczywistości.

– Bessie! – wyszeptała.

Postawiła kubek na stole i pobiegła do pokoju dziennego.

– Bessie! Tak się cieszę, że wróciłaś – powiedziała, ściskając starszą panią.

– Już myślałam, że trzymali mnie dla okupu – rzekła Bessie – ale na szczęście wreszcie mnie puścili.

– Co graniczy z cudem – dodał Robert, zamykając za sobą drzwi. – Pogoda jest okropna. Drogami trudno przejechać, tyle na nich wody, a ponadto panuje dokuczliwy chłód. Mokro i zimno.

– Nie przejmuj się nim, Winter – powiedziała radośnie Bessie. – Zawsze zrzędzi, kiedy pada deszcz. Już jako chłopiec był taki. Nie lubi niczego, co go zatrzymuje, nad czym nie może zapanować. Poza tym, ponieważ Bobby jest mężczyzną i ma w dodatku takie smutne myśli, nie przyszło mu nawet do głowy, że chciałabym przebrać się w świeże ubranie. Wobec tego idę wziąć szybką kąpiel i założyć czyste rzeczy. To nie potrwa długo. – Wyszła z pokoju.

Robert szybko zbliżył się do Winter i wziął ją w ramiona.

– Cześć, kobieto, którą kocham – powiedział, uśmiechając się do niej. – Czy wiesz, jak ślicznie wyglądasz, kiedy śpisz?

– Nie przypominam sobie, żebyśmy to kiedykolwiek omawiali – odparła z lekkim uśmiechem.

To wspaniałe – pomyślała. Robert i ja nie zgadzamy się nawet w tak nieistotnej sprawie jak pogoda.

– Robercie, nie mówiłeś Bessie o nas?

– Nie. Pomyślałem, że będzie jej miło, jeśli powiemy jej to razem. Będzie wstrząśnięta. Winter, jeżeli w ciągu następnych

dziesięciu sekund nie pocałuję cię, poczuje się odtrącony i umrę.

Położyła dłonie na jego piersiach.

– Zaczekaj, proszę. Posłuchaj mnie. Myślę, że nie powinniśmy jeszcze nic mówić Bessie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że mamy tyle spraw do przemyślenia, tyle problemów do rozwiązania. Musimy podjąć jakieś decyzje. Nie mówiłabym nic twojej matce, dopóki nie wyłoni się jasny obraz naszej... naszej obopólnej zgody co do przyszłości. Bessie będzie zła, jeżeli to się skończy... nie... tak... – Głos Winter się załamał. Zobaczyła, jak Robert poczerwieniała gniewu. Schwycił ją za ramiona.

– O czym ty, u licha, mówisz?! Bessie będzie zła, jeżeli to się skończy nie tak... Czy bawimy się w wypełnianie formularzy? Nie tak jak co?

– Robercie, proszę, nie kłóćmy się. Chcę tylko powiedzieć, że jeszcze wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Dopóki nie znajdziemy rozwiązań, lepiej niczego nie ujawniać.

– A jeżeli ich nie znajdziemy? Czy o tym myślisz, mówiąc „skończy się nie tak”? O tym?

Zmarszczyła brwi.

– Tak. Fakt, że się kochamy, nie zapewni nam automatycznie dojścia do kompromisu, i to takiego, który zadowalałby nas oboje.

O Boże, pomyślała, zaczynam mówić jak Robert.

– To jasne, że nie zapewniam – uniósł głos. – Wszystko, co nam zostało, to przyjrzeć się zakochanym sówom na kominku. Nie można ich rozdzielić nie niszcząc ich. I to jest odpowiedź. Kochamy się przecież, jesteśmy razem i wszystko jest w porządku.

– To nie takie proste! – wykrzyknęła. Zerknęła na drzwi do sypialni Bessie, po czym znów spojrzała mu w oczy. – Css. Bessie nie może usłyszeć. Proszę, powstrzymaj swój upór. Bessie może wrócić w każdej chwili. Czy zgadzasz się, aby nic nie mówić jej teraz?

– Nie. – Westchnął i opuścił ręce. – W porządku, zgadzam się. Ale to mi się nie podoba. Pomówimy później, kiedy będziemy sami. Ale teraz. – Ujął dłońmi jej twarz. – Odłóżmy to wszystko.

Pochylił głowę i zamknął jej usta w płomiennym, odbierającym dech pocałunku. Winter niecierpliwie oddała pocałunek, rozkoszując się dotykiem jego ciała i jaskrawymi obrazami ich przeżyć, kiedy się kochali. Jej rozbudzone pożądanie zawirowało w ognistej mgle.

Jakże ona kochała tego mężczyznę! Robert... Robert... Rob...

– No dobrze, gwiazdeczki.

Winter i Robert odskoczyli od siebie jak oparzeni i zobaczyli rozpromienioną Bessie.

– Bessie, to nie jest to, o czym myślisz. – Z ust Winter wydobył się potok słów. Potrząsnęła głową i przycisnęła dłoń do czoła. – Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam...

Bessie wyszła na środek pokoju i usiadła na krześle. Była ciągle w radosnym nastroju. Uśmiechając się spojrzała na Winter i syna.

– Wy dwoje wyglądacie jak niesforne dzieciaki złapane na gorącym uczynku. Albo bawiące się w lekarza.

– Ładne kwiatki – mruknął Robert.

– Jestem zachwycona – wpadła mu w słowo Bessie. – Wyobraźcie sobie, wy dwoje... No cóż, jestem wstrząśnięta. Tak niepokoiłam się o swoje sprawy, że nawet nie zauważyłam, co się dzieje pod moim starym nosem. Czy macie coś, nazwijmy to, oficjalnego do powiedzenia? Jakież plany, którymi chcielibyście się ze mną podzielić?

– Nie – powiedziała szybko i trochę za głośno Winter. Zerknęła na Roberta, on na nią, i popatrzyła na Bessie. – Zaraz ci wyjaśnimy – rzekła, siłąc się na lekki ton. – Tak, z pewnością. Jak w tasiemcowym serialu: proszę włączyć odbiorniki jutro o tej samej porze...

– Winter, na Boga! – przerwał Robert.

– Przepraszam. – Na jej twarzy pojawił się grymas. – Czy ktoś ma ochotę na lunch?

– Nie – odparł Robert.

– Nie. Dziękuję – powiedziała Bessie. – Zjadłam olbrzymie śniadanie w szpitalu. Nawet było smaczne. Czy możecie usiąść? Chciałabym z wami pomówić.

Przytaknęli, podeszli do sofy i usiedli w pewnym oddaleniu od siebie. Bessie westchnęła i wyprostowała się na krześle.

– Tak więc – rzekła – spałam tej nocy bardzo dobrze dzięki, jak sądzę, tej ślicznej różowej pigułce. Obudziłam się bardzo wcześnie i dlatego mam trzeźwy umysł. Doszłam do kilku zaskakujących konkluzji.

– Och! – zainteresował się Robert. Bessie skinęła głową.

– Od przyjazdu do Tucson byłam prawie opętana dochodzeniem do niezależności. Widziałam moje dotychczasowe życie, ograniczone, bezpieczne i beзуżyteczne. Ale tego ranka zdałam sobie sprawę, że to nieprawda.

Robert i Winter pochylili się, zaciekawieni.

– Bobby, twój ojciec przez wszystkie lata naszego małżeństwa najczęściej przebywał poza domem. Do mnie należały decyzje dotyczące twojego wychowania, domu, finansów. Ba, nawet decyzje kupna i sprzedaży przekazywałam maklerowi, zawsze kiedy uznawałam to za roztropne. Imprezy charytatywne, które organizowałam, mogły zakończyć się sukcesem tylko dzięki pracy, wykonywanej systematycznie i sumiennie. Zawsze

pracowałam tak, jak tego ode mnie oczekiwano.

– Tak – rzekła w zamyśleniu Winter. – Masz absolutną rację.

– Nie wzięłam kredytu dla siebie – ciągnęła Bessie – wtedy, kiedy mogłam. Nagle poczułam, że coś muszę zrobić ze swoim życiem. Niemal szalałam na samą myśl o pobycie tutaj, o nowych przygodach, o robieniu tego, czego nigdy wcześniej nie robiłam. Gdyby to się udało, mogłabym spędzić swoje życie i powiedzieć: Widzicie, co zrobiłam? Ale tego ranka pomyślałam sobie: Bessie, ty głupia, stara kobieto! Nie musisz nikogo przeproszać za *to*, że żyjesz.

– Słuchaj! Słuchaj! – wykrzyknęła Winter.

– Jesteśmy wszyscy – przerwała jej Bessie – sumą naszych przeszłości. To, kim jestem dzisiaj, wynika z tego, co robiłam dotąd. Aby odnaleźć wewnętrzny spokój, być *para-ah-dee-ah-tran* musimy bezwarunkowo zaakceptować siebie, włączając w to błędy, jakie popełniliśmy. Musimy wybaczyć sobie nasze ludzkie pomyłki.

Serce Winter zaczęło łomotać, wizje przebiegały przed jej oczami serią wyrazistych scen.

Widziała tysiące ludzi szalejących za Bright Winter Star, stojącą na scenie w białej sukience z cielecej skóry.

Widziała, jak policja powstrzymuje napór tłumu rozhisteryzowanych fanów, chcących dotknąć Bright Winter Star.

Widziała Cliffa rozmawiającego z dziennikarzami w momencie, kiedy ona stoi o krok za nim w zupełnej ciszy, przyczyniając się do umocnienia swego image'u indiańskiej księżniczki, która śpiewa, ale nie mówi.

Widziała wszystko, scena po scenie, a każda z nich wypełniała ją wstydem i niechęcią do samej siebie. W jej głowie brzmiały słowa Bessie: musimy wybaczyć sobie nasze ludzkie pomyłki.

Nie, myślała, moje pomyłki są zbyt wielkiej wagi.

Nie mogła nagle zapomnieć o nich, wyrzucić ich z pamięci. Wszystko to było zbyt straszne. Nie. Musiała odpokutować...

– Winter! – Robert oderwał ją od dręczących myśli. – Czy dobrze się czujesz? Nagle zbladłaś.

– Co? O, tak, czuję się dobrze. Kontynuuj, Bessie.

– Cóż, to całkiem proste – powiedziała Bessie. – Straciłam czasowo kontakt ze sobą, z tym, kim naprawdę byłam i kim chciałam być. Gdybym nie miała tego w sercu, wróciłabym z Old Tucson, zachwycając się, jak było wspaniale, i rzeczywiście wierząc w to. Mówiąc prawdę, konie śmierdziały strasznie, a kiedy kowboje zaczęli strzelać, o mało co nie wyskoczyłam z butów. To było naprawdę czarujące; czułam się jakby przeniesiona w czasy pionierów Dzikiego Zachodu, ale to nie dla mnie. Tak więc, kochani, zamierzam przystopować swoją szaleńczą chęć przygód. Zamierzam jeszcze raz przebadać... hm,

siebie i odkryć, kim naprawdę jestem. Najpierw pojedę do Nowego Jorku, do swojego lekarza. Niezależnie od swoich planów na przyszłość zamierzam przede wszystkim dbać o swoje zdrowie. Przepraszam za strapienie i niepokój, które spowodowałam, ale stało się to, co się stało, i czas iść do przodu. I to, moje dzieci, jest cała moja historia.

– Mamo – rzekł Robert, uśmiechając się ciepło – jesteś najwspanialszym człowiekiem, jakiego znam. Bycie twoim synem to dla mnie powód do dumy i szczęścia.

– No cóż, dziękuję, mój drogi. Ale, ale!... Dlaczego nie zrobić sobie jakiegoś lunchu? Gotowanie to jedno z zajęć, które naprawdę lubię. – Podniosła się. – Ojej, pada coraz mocniej. – Ruszyła przez pokój w stronę drzwi. – Zawołam was, jak będzie gotowe. Zrobię coś na gorąco. Ochłodziło się dzisiaj.

Gdy Bessie wyszła, Winter skoczyła na równe nogi. Czuła dziwny rodzaj klaustrofobii, jak gdyby wszystkie zmory przeszłości zagnały ją w ślepy zaułek.

– Tak, jest wilgotno i chłodno – powiedziała trochę zbyt radosnym tonem. – Ogień. Dobry pomysł. Zapalimy ogień w kominku. Mam drewno w składziku i...

– Winter – przerwał Robert – co to znaczy? – Wstał i popatrzył na nią uważnie. – Wyglądasz, jakby... Nie wiem, ale coś tu nie gra. Jesteś podenerwowana, zaniepokojona. Co złego się stało?

– Złego? – odparła, marszcząc brwi. – Podziwiam Bessie za to, że odważnie przyznaje się do swych błędów, i za to, że jest uczciwa wobec siebie oraz potrafi z analizy swego postępowania wyciągnąć stosowne wnioski. Kiedy pomyślę, że wkrótce wyjedzie, ogarnia mnie smutek. Będzie mi jej bardzo brakowało.

– Winter, chodź. To ja, ktoś, kto cię kocha. Masz znacznie więcej utrapień niż roztrząsanie, jak będziesz tęsknić za kobietą, z którą możesz być przecież w stałym kontakcie.

– Zimno mi. – Winter zadrżała. – Kiedy jest mi zimno, czuję się dziwnie. Krew uderza mi do mózgu, jakby na pół zamrożona. Mogłabym podkreślić ogrzewanie, ale znacznie przyjemniej będzie rozpalic ogień. Przytulnie... Rozumiesz, co mam na myśli?

Westchnął.

– W porządku, zostawmy to. Gdzie jest drewno?

– W składziku, za kuchenną spiżarnią.

Robert wyszedł przez obrotowe drzwi, a Winter przycisnęła palce do ust, by zdusić narastający szloch. Rozpadam się, pomyślała, jak pozbawiona wnętrza szmaciana lalka. Problemy, jakie miała z Robertem i planami na przyszłość, były do pokonania, ale słowa Bessie spowodowały, że przeszłość zaatakowała ją niczym straszliwy potwór.

Otworzyła drzwiczki kominka. Przed paleniskiem podłoga wyłożona była indiańskimi kafelkami, na prawo stały koszyki,

które sama wyplotła. W jednym były gazety, w drugim szyszki sosnowe, które zebrała w sosnowych lasach porastających góry wokół Oak Creek. Przygotowała rozpałkę z papieru i szyszek. Chciała zdążyć, zanim Robert przyniesie gałęzie jałowca.

Zaczęła miąć papier. Nagle jej wzrok zatrzymał się na zakochanych sowach. Stała jak posąg, oddychając ciężko. W pokoju słychać było tylko bębnienie kropel deszczu o dach, ale gdy tak stała, wpatrzona w sowy, uświadomiła sobie, że oczekuje jeszcze innego dźwięku.

Wiedziała, że to absurd, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że zakochane sowy usiłują jej przekazać jakąś bardzo istotną wiadomość.

– Paul Bungan, do usług, madame. – Robert wystraszył ją swoim wejściem. Stał w progu z naręczem gałęzi. – A mama mówi, że lunch jest gotowy. Cytuję: „Gorąca, pożywna zupa i zapiekanki z serem. Idealne na chłodny, dżdżysty dzień”. Koniec cytatu. Gdzie mam położyć to drewno?

Winter patrzyła na niego błędnym wzrokiem, przekonując się, że jeśli nie przerwie tych śmiesznych rozmyślań o woskowych sowach, to w końcu trafi do wariatkowa.

– Winter – powiedział Robert – ja nie trzymam w ręku wykałaczek. Te gałęzie są ciężkie. Gdzie mam je położyć?

– Och! Tak, oczywiście. Przepraszam. Połóż je tu, na

kafelkach. Przygotuję rozpałkę.

Po kilku minutach w kominku trzaskał ogień. W pokoju zrobiło się przytulnie. Wnętrze tonęło w złocistej poświacie.

– Chodź, moja słodka – powiedział Robert, obejmując ją ramieniem. – Lunch czeka.

Zasiedli do stołu w jadalni. Winter wpatrywała się w padający za oknem deszcz.

– Winter, czy burza cię denerwuje? – spytał w końcu Robert.

– Nie. Bardzo lubię burzę na pustyni. Wspaniałe. To słowo zawsze przychodzi mi do głowy, ilekroć patrzę na burzę.

Teraz już również Bessie i Robert patrzyli na oślepiające błyskawice i uderzające o szyby krople deszczu. Przez kilka minut cała trójka nie odzywała się ani słowem.

– Tak – przerwał milczenie Robert – masz rację. To jest tak... Tak intensywne, jak gdyby natura mówiła: „Zatrzymaj się na chwilę i wróć do źródła. Zapomnij o wszystkich nieistotnych strapieniach, które cię otaczają, i pamiętaj o tym, co jest prawdziwe”. – Popatrzył na Winter, zakłopotany. – To chyba nie miało sensu.

– Owszem, miało – odparła zaskoczona. – To jest dokładnie tak, Robercie.

– Zdziwiasz mnie, Bobby – rzekła Bessie. – Nigdy nie słyszałam, żebyś mówił podobne rzeczy. Wszystko, co od ciebie

mogłam usłyszeć o deszczu, dotyczyło niedogodności, które powoduje.

– Tak, no cóż... – Wzruszył ramionami. – Niewiele wiesz o dorastaniu, zmienianiu się.

– Na pewno nie. Myślę, że Winter ma na ciebie cudowny wpływ. Nie zbesztaj mnie za to, co ci powiem, ale jeżeli jesteś naprawdę serio związany z Winter...

– Bessie... – zaczęła Winter.

– Wiem, kochanie – rzekła Bessie – jestem wścibska, ale to przywilej mego wieku. Podejrzewam, że coś intymnego zaszło między wami, a to oznacza, że Bobby rozpoczął realizację jednego punktu swego planu wcześniej, niż zamierzał.

– O pięć lat – stwierdził Robert chichocząc – ale to mnie nie obchodzi. Mamo, „coś intymnego” to określenie nieprecyzyjne, powinnaś powiedzieć „miłość”...

– Robertcie, obiecałeś nie mówić... – powiedziała Winter gniewnym tonem.

– Wiem – przerwał – ale to niemożliwe. Nie możemy rozmawiać dalej, nie odkrywając wszystkich kart. Moja matka wraca do Nowego Jorku. A co będzie, jeżeli zechce przyjechać do Tucson później? Czy nie sądzisz, że zanim podejmie taką decyzję, musi o wszystkim wiedzieć? Na przykład o takim drobiazgu, że ciebie tu nie będzie?

Winter zmierzyła go wzrokiem.

– Och? A gdzie będę?

– Ze mną, oczywiście. – Spojrzał na Bessie. – Mamo, Winter i ja kochamy się i poprosiłem ją o rękę. Musimy jeszcze popracować nad pewnymi szczegółami, ale...

– Szczegółami? – zaprotestowała Winter. – Więc tak je nazywasz? Dokuczliwe niedogodności, które powinny być szybko rozwiązane i zapomniane? Dobrze. Posłuchaj mnie teraz, ty bubku. To nie będzie takie łatwe.

– O Boże! – rzekła Bessie. – Jak na dwoje świeżo zakochanych ludzi, co cieszy mnie niesłychanie, wydajecie się raczej... opryskliwi. Winter westchnęła.

– Bessie, czułam, że Robert i ja powinniśmy wszystko przemyśleć, a dopiero później opowiedzieć ci, ale on się nie zgodził. Tak czy siak, on chce, bym rzuciła *Wschodzące Słońce*, mój dom, i wyjechałam nim.

– Tak – wtrącił Robert.

– Rozumiem – powiedziała Bessie. – I to wywołuje konflikt pomiędzy wami, czy mam rację?

– Tak – rzekła Winter.

– Nie powinno – dodał Robert – ale tak jest. Posłuchaj, mamo. Nie chcę być nieuprzejmy, ale uważam, że powinniśmy zmienić temat. To problem mój i Winter. Jestem za stary, żeby biegać do

mamy z każdym najmniejszym kłopotem. Winter i ja znajdziemy rozwiązanie.

Jakie? – zastanawiała się Winter. Jakie, Robercie? Bessie dłuższą chwilę obserwowała Winter, wreszcie rzekła:

– Oczywiście, znajdziecie rozwiązanie, jakiś kompromis.

– Robert nie uważa, żeby kompromis był możliwy we wszystkich sytuacjach – stwierdziła Winter. – Inaczej mówiąc, w pewnych przypadkach jedna osoba musi poświęcić wszystko.

– I to jest właśnie taki przypadek? – spytała Bessie; – Ty masz poświęcić wszystko, Winter? Wszystko, czyli twój dom i *Wschodzące Słońce*¹?

– Tak.

– To jedyne wyjście – przytaknął Robert. – Siedząc tutaj, nie mogę należycie rozwijać swego interesu. Muszę jeździć od biura do biura, tak jak jeździł mój ojciec.

Niewiele można załatwić przez telefon. Muszę tam być. Kiedy przesunę ciężar odpowiedzialności na zastępców, wówczas Winter i ja będziemy mogli założyć rodzinę. Będę więcej czasu spędzał w domu niż na wyjazdach, ale do tego momentu... Myślałem, że nie będziemy tego omawiać! Winter i ja znajdziemy odpowiedź. A teraz, mamó, kiedy zamierzasz pojechać do Nowego Jorku? Bessie znów dłuższą chwilę patrzyła na Winter.

– Jutro – rzekła w końcu. – Jeżeli będą wolne miejsca w

samolocie.

– Polecę z tobą – powiedział.

– Po co?

– Chciałbym osobiście usłyszeć, co powie twój lekarz.

Sprawdzę też biuro w Nowym Jorku. Mogę wrócić za parę dni.

– A potem? – spytała Winter.

– Potem ty i ja usiądziemy i zaplanujemy sobie przyszłość.

Winter zerwała się na równe nogi.

– Przepraszam na chwilę. Muszę dołożyć do ognia; chyba przygasa. – Obróciła się i wyszła z pokoju.

Bessie patrzyła w ślad za nią, po czym spojrzała na Roberta.

– Bobby, czy ty jesteś w pełni świadom, o co prosisz Winter?

Skinął głową.

– Proszę, aby za mnie wyszła. To chyba jasne.

– Ale, Bobby... – potrząsnęła głową. – Będę siedziała cicho.

– Jestem wdzięczny. To jest sprawa pomiędzy Winter i mną.

– Tak – rzekła cicho Bessie. Uniosła łyżkę i odłożyła ją z powrotem. Nagle straciła apetyt.

Winter stała przed kominkiem, patrząc w płomienie. Nie myślała o niczym, po prostu stała, jakby dając się hipnotyzować pomarańczowym językiem ognia.

Jej umysł potrzebował odpoczynku, przerwy; trzymała się tego, jak tonący koła ratunkowego.

– Winter – rzekł Robert, stając za nią. – Nie dokończyłaś lunchu. Zupa i zapiekanka stygną.

– Nie jestem zbyt głodna – wyszeptała, nadal patrząc w ogień.

Położył jej ręce na ramionach i musnął ustami gładką skórę jej szyi.

– Będzie mi ciebie brakowało – powiedział, unosząc głowę. – Nie zostanę w Nowym Jorku ani chwili dłużej, niż będę musiał. Kiedy wrócę, dokończymy nasze plany i puścimy wszystko w ruch.

W oczach Winter stanęły łzy. Wzruszenie ścisnęło jej krtań.

– Nie, – Nie? Co nie?

Obróciła twarz ku niemu, zmuszając go do opuszczenia rąk.

– Robercie, kocham cię. Nie chcę tego, ale cię kocham. Ale, na Boga, Robercie, nie mogę zrobić tego, o co mnie prosisz. Muszę tu zostać. To mój dom. *Wschodzące Słońce* jest moją dumą i radością. Tucson, pustynia – to miejsca, w których moje prywatne wschodzące słońce daje mi spokój ducha. Wszystko to jest tutaj. Bez tych rzeczy będę stracona. Wylękniona i stracona.

– Nie, Winter. Będę z tobą zawsze i wszędzie. Będziemy razem, nie rozumiesz? Nie ma się czego bać, Winter. Stracona? Co masz na myśli?

– Stracę siebie, tak jak wtedy, gdy byłam Bright Winter Star.

– Do cholery! Nie jestem Ctiffem – nieomal wykrzyczał

Robert. – Będiesz moją żoną, a nie robotem jak wcześniej. Musisz pozwolić odejść przeszłości, dopiero wtedy będziemy mogli żyć razem.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Nie. Ciągłe będę, jak to nazywasz, robotem. Może tego nie dostrzegasz, ale próbujesz mną manipulować na swój własny sposób, tak samo, jak robił to Cliff swoją metodą. – Potrząsnęła głową. – Nie mogę. Jeden raz wystarczy.

– O czym mówisz? – zapytał, mocno ściskając jej ramiona. – O czym, do diabła, mówisz?

Uniosła rękę, jak gdyby chciała go dotknąć, rozmyśliła się jednak i opuściła je.

– Kocham cię – powiedziała – ale nie mogę wyjść za ciebie. Przykro mi, jeśli... Przykro mi, jeżeli cię zraniłam, ale... muszę tu zostać, a ty nie możesz, myślę więc, że najlepiej będzie, jeżeli wyjedziesz teraz, zanim... nie będzie więcej... bólu.

– Winter – powiedział, próbując zajrzeć jej w oczy – nie możesz tak myśleć. Winter, nie rób nam tego. Dopiero co się odnaleźliśmy, a ty już to wszystko odrzucasz. Będziemy szczęśliwi, klnę się na Boga, nawet jeśli zostawisz ten dom, to miasto, ten sklep. Poza Tucson też jest świat, który tylko czeka, abyśmy cieszyli się nim. Proszę, wstrzymaj się i pomyśl, jaką krzywdę nam wyrządzasz. Pozwól umrzeć przeszłości, wtedy

nasza przyszłość będzie mogła się narodzić. Winter, proszę!

Łzy popłynęły jej po twarzy.

– Żegnaj, Robercie.

Na jego twarzy pojawiło się niedowierzanie, potem gniew, który ostatecznie przerodził się w głęboki ból. Robert patrzył na Winter długą, długą chwilę, po czym odwrócił się i wyszedł, zabierając kurtkę. Chwilę później wypadł z domu na szalejącą burzę, nie założwszy nawet okrycia.

Gdy zatrzęsnęły się za nim drzwi, Bessie, weszła do pokoju i ze stroskaną twarzą patrzyła na Winter, która szlochała, ukrywając twarz w dłoniach.

Rozdział 9

Winter stała przed frontowym oknem *Wschodzącego Słońca* i obserwowała fontannę. Woda tryskała w górę, a potem opadała wspaniałą kaskadą.

Popołudniowe słońce było jeszcze wystarczająco jasne, by tańczyć w kroplach wody, tworząc cudowne tęczowe widowisko, przypominające miriady świetlistych diamentów. Kilka osób stało obok fontanny i było zajętych uwiecznianiem jej piękna na błonie fotograficznej.

Winter westchnęła i odwróciła się od okna. Kiedyś na widok fontanny na jej twarzy gościł uśmiech. Dzisiaj było inaczej. Od czasu, kiedy dziesięć dni temu Robert wyszedł z jej domu na zimny deszcz, jej uśmiech pojawiał się tylko na widok wchodzących do sklepu klientów.

Jeszcze raz ostatnia scena z Robertem przemknęła jej przed oczami. I jeszcze raz poczuła gorycz nie przelanych łez.

Winter Holt, przestań, strofowała się w myślach. Ciągłe poszukiwała wyjścia, sposobu na zniszczenie tego, co ją i Roberta rozdzieliło, ale nic nie potrafiła wymyślić. Chciał, aby wyjechała z nim, ona zaś wiedziała, że musi zostać; to było wszystko.

Tęskniła za nim tak bardzo, że aż czuła, jak lodowate kleszcze samotności ściskają jej serce.

Od czasu powrotu Bessie do Nowego Jorku dwa razy rozmawiały ze sobą przez telefon. Bessie powiedziała jej, że widziała się ze swoim lekarzem, który zalecił jej codzienne długie spacerowanie. Przepisał jej też dietę: musi unikać słodkich deserów i produktów zażerających cholesterol; ogólnie jednak czuje się bardzo dobrze. Zamierza pomóc w zorganizowaniu świątecznych tańców w Plaża, większość pracy zostawiając komuś innemu. Pytała też Winter, jak się czuje, jednak szczebiocząc ciągle, ani razu nie wspomniała o Robercie.

Kochana Bessie, myślała Winter. Mimowolnie stała się trzecią postacią dramatu z Winter i Robertem w głównych rolach i uznała, że najlepiej będzie nie mówić nic, co mogłoby się z tym wiązać.

Winter spojrzała na zegarek i uświadomiła sobie, że Siki i Dulcie pojawią się lada chwila. Miały pracować w sklepie po południu.

O Boże! – myślała smętnie. Nie chcę wracać do pustego domu. Zaciszna kiedyś przystań przestała istnieć; Robert odszedł na zawsze – zdawały się jej urągać puste pokoje.

Ale we *Wschodzącym Słońcu* też nie czuła się lepiej. Było to przecież miejsce, gdzie pierwszy raz spotkała Roberta; sklep pełen był wspomnień ich pierwszego pocałunku i wesołych rozmów o miseczkach wypalanych w owczych bobkach.

Wciąż osaczały ją łamiące serce wspomnienia o Robercie Stonie. Nie było przed nimi ani ucieczki, ani ukrycia.

Drzwi otwarty się w akompaniamencie brzęku dzwonek. Winter ucieszyła się, że już nie będzie sam na sam z dręczącymi myślami. Uśmiech na jej twarzy zamarł, gdy zobaczyła, że Dulcie jest sama.

– Czy stało się coś złego? – zaniepokoiła się. – Gdzie jest Siki?

– Barry właśnie zawiózł ją do szpitala – rzekła Dulcie śmiejąc się. – Dziecko postanowiło przybyć na świat parę tygodni wcześniej. Miała już pierwsze skurcze, wypłynęły wody płodowe. Szybciej było po prostu wyjechać, niż dzwonić po ciebie.

– Czy Siki się denerwuje? – zapytała Winter.

– Boże, skąd – zaśmiała się Dulcie – jest zupełnie spokojna. Za to Barry jest już wrakiem. Mówię ci, Winter, on mięknie w oczach. Ostatnio zmienił zdanie; twierdzi, że nie może tego wytrzymać i że dziecko powinno zostać tam, gdzie było. Oberwał za to od Siki.

Winter wybuchła śmiechem.

– To dlatego kobiety, a nie mężczyźni, rodzą dzieci.

– Zgadza się. Słuchaj, mogę sama poprowadzić sklep. Siki powiedziała, że dam sobie radę. Tym lepiej dla ciebie, Winter, ale... nie obrażę się, jeśli zostaniesz.

– Nie, nie potrzebujesz mnie. – „Czy ktokolwiek mnie

potrzebuje?” – przemknęło jej przez myśl. – Pojadę do domu, zjem obiad, a później dotrzymam towarzystwa Barry’emu. Nie sędzę, żeby szpital w St. Mary był przygotowany na ekscesy Barry’ego Sancheza w stanie paniki.

– Dobry pomysł – rzekła Dulcie. – Daj znać, jak się czegoś dowiesz.

Winter, jadąc do domu, zastanawiała się, co zje na obiad. Nie zaprzątało to zbyt jej myśli, zwłaszcza że od wyjazdu Roberta nie miała apetytu i raczej czytała książkę kucharską, niż próbowała cokolwiek przyrządzić.

Wjechała na drogę dojazdową, zerknęła na dom i... zaskoczona popatrzyła raz jeszcze, wciskając jednocześnie pedał hamulca. Ze zdziwienia szeroko otworzyła oczy.

Przed domem stało tipi. Ogromne tipi, dokładnie takie, w jakich mieszkali niegdyś Indianin. Na dodatek, jakby potwierdzając pomieszenie zmysłów, którego niewątpliwie padła ofiarą, przed tipi płonęło małe ognisko.

Wyłączyła zapłon i wysiadła z furgonetki, modląc się, aby drżące nogi mogły ją utrzymać. Ruszyła niepewnie, wpatrzona w rzeczy, które pomimo wydanych przez mózg dyrektyw, nie chciały zniknąć.

Zatrzymała się metr przed tipi, przyciskając do piersi torebkę niczym tarczę.

– Halo! – zawołała nerwowo. – Jest tam kto?

Zaparło jej dech, kiedy zasłona tipi opadła i w wejściu ukazał się Robert Stone. Wyprostował się i przeciągnął. Ubrany był w dżinsy i gruby żeglarski sweter. Winter ze zdziwienia otworzyła usta, nie mogąc wykrztusić z siebie nawet westchnienia.

– Hej! – powiedział i zmarszczył brwi. – Nie, to nie tak. A może właśnie tak?... Nie, też źle. Zróbmy to tak: Cześć! Jak żyjesz? – Na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Zamknij usta, Winter, bo wleczą ci muchy.

Usłuchała go, po czym niepewnie zaczerpnęła tchu. Nadal zastanawiała się, czy to wszystko nie jest wytworem jej wyobraźni.

– Co?... – zaczęła cienkim z emocji głosem. – Co ty tu robisz? I dlaczego w moim ogrodzie stoi tipi?

Och, jaki on piękny! Jej Robert! Kocha go. Tęskni za nim. Chce rzucić się w jego ramiona. Ale czy to nie głupi pomysł? Jeżeli naprawdę zwariowała i Robert jest mirażem, rzucenie się w jego objęcia oznacza lądowanie nosem na ziemi.

– To proste, Winter odpowiedział. – Właśnie skończyło się dziesięć najgorszych dni w moim życiu. Jak parszywe były noce, nawet nie wspomnę. Moja rodzona matka też nie była dla mnie zbyt dobra. Wciąż nazywała mnie nadętym bufonem i upartym palantem, co raczej źle wpłynęło na moje morale. A potem

odmówiła wszelkich rozmów, zanim nie podyskutuję bardzo poważnie sam ze sobą.

– Och! – wykrztusiła Winter, nie mogąc zdobyć się na nic innego.

– Więc rozmawiałem ze sobą bardzo długo – ciągnął Robert – i muszę przyznać, że określiłem w końcu sam siebie tak, że słowa mojej matki były przy tym raczej uprzejme. Byłem wobec ciebie nieuczciwy i ograniczony. Pomiąłem wszystko, co jest dla ciebie cenne, ponieważ nie wyglądało zbyt poważnie przy tym, co robię. Postąpiłem źle i bardzo mi z tego powodu przykro. Kocham cię do szaleństwa i zrobię wszystko, abyś za mnie wyszła.

– Ale...

– Mogłem zatrzymać się w hotelu i zastukać do twoich drzwi z deklaracjami całkowitego oddania, ale stwierdziłem, że powinienem zadziałać na miejscu. Zamieszkałem w tipi po to, aby pokazać ci, że naprawdę szanuję twój styl życia, twój dom, *Wschodzące Słońce* – sklep i wschodzące słońce twego wewnętrznego spokoju.

Patrzyła nań wrogo.

– Robercie, zepsuł ci się wyłącznik.

– Niemożliwe, Holt – odparował. – W tipi nie ma prądu.

Wniosek: brak wyłączników.

– Och, na Boga, Robercie...

– Kompromis jest osiągalny, ale musimy szukać go razem. A teraz nie denerwuj się na mnie; muszę ci coś powiedzieć. Pora na twoją długą rozmowę ze sobą. Musisz zdecydować, co jest dla ciebie najważniejsze i czy zamierzasz dalej pozwalać ternu, co minęło, niszczyć twą przyszłość. Kiedy skończysz tę inwentaryzację myśli, skończysz czyścić i odkurzać swój umysł, daj znak; będę czekać w tipi.

– Czyścić i odkurzać swój umysł? – powtórzyła z niemal histerycznym grymasem.

– To bardzo skuteczna metoda, madame – rzekł, po czym dodał z kurtuazją: – Czy zechce pani zwiedzić mój apartament?

– Co? Och, teraz nie mogę, muszę jechać do szpitala na poród. Wytrzeszczył oczy.

– Wybacz, ale nie rozumiem.

– Nie, nie ja będę rodzić, tylko Siki.

– Nie żartuj. To świetnie. Dobrze. Pojadę z tobą. Daj mi tylko minutę na zgaszenie ogniska.

– Mój śliczny – powiedziała Winter, wachlując się ręką. – Muszę wejść do środka na... Chciałam zjeść obiad, ale to nieważne. Wracam za chwilę.

– Dobrze.

– Robercie, zrób coś dla mnie. – Nieśmiało wyciągnęła rękę i dotknęła palcem jego torsu. – Jesteś prawdziwy – stwierdziła. –

To się naprawdę wydarzyło. Niesamowite. – Cofnęła palec, spojrzała na jego koniec, okręciła się na pięcie i ruszyła do domu.

– Hej! – krzyknął Robert. – Stój!

Zatrzymała się. Podszedł do niej i delikatnie objął ją w biodrach.

– Nie wmawiaj sobie, że masz przywidzenia – rzekł, zaglądając jej w oczy. – Jestem tutaj, prawdziwy i bardzo w tobie zakochany.

– Schylił głowę. – To pewne.

Winter wstrząsnął miły dreszcz oczekiwania. Poczowała usta Roberta na swoich, jego język między swoimi wargami.

Rozchyliła usta, uspokoiła się.

Och, Robercie, myślała sennie, jesteś tu, naprawdę jesteś.

Rozkoszowała się jego smakiem, aromatem wody kolońskiej, świeżym powietrzem i pachnącym dymem ogniska. Napawała się kojącym dotykiem jego mocnych rąk, słodkim uciskiem jego ust. Żar wirował głęboko w niej, pożądanie uwolniło się niczym dziki ptak.

Przerwał pocałunek i ciągle dotykając ustami jej ust, zapytał:

– Czy teraz wierzysz, że naprawdę tu jestem?

– Tak – wyszeptała, powoli otwierając oczy.

– Czy wierzysz, że cię kocham?

– Tak.

– Czy mnie kochasz?

– Tak, o tak...

– Czy oczyścisz swój umysł?

– Odkurzę go, przyrzekam.

– Wszystko się uda, zobaczysz. Jeżeli będziemy razem, jak nasze zakochane sowy, wszystko się uda.

– Tak.

– Dobrze. Jedźmy do szpitala, aby odwiedzić Siki.

– Tak.

Opuścił ręce. Winter na chwiejnych nogach ruszyła do domu.

– Kocham cię, Winter Holt – powiedział cicho, gdy zniknęła w drzwiach. – I chciałbym być z tobą na zawsze.

W sypialni Winter pośpiesznie przebrała się w dżinsy i pomarańczowy sweter. Myślała cały Czas o tym, co jej powiedział Robert.

Och, jak ona go kochała, jak tęskniła za nim, jak bardzo go pragnęła, pragnęła się z nim kochać, kochać w ich własny sposób!

Zbiegła do pokoju dziennego i zatrzymała się przed kominkiem, utkwivszy wzrok w zakochanych sowach.

– Mówcie do mnie – wyszeptała. – Wiem, że próbujecie, po prostu wiem. Przekażcie swoją wiadomość głośniejszym głosem, tak żebym mogła usłyszeć.

Postała jeszcze chwilę i wypadła przez drzwi frontowe.

Ruch na drodze do szpitala był bardzo duży i Robert musiał skupić się na prowadzeniu wynajętego samochodu. Nie mógł więc myśleć o siedzącej obok ukochanej kobiecie.

Śmiał się w duchu na samo wspomnienie wyrazu zaskoczenia na twarzy Winter. Widok jego i tipi w ogrodzie zrobił na niej wrażenie. Dzięki Bogu, nie kazała mu spakować się i wynieść do diabła. Obiecała też przemyśleć swoje sprawy.

Ostatnie dziesięć dni było, musiał przyznać, koszmarem. Czuł się, jak gdyby utracił część samego siebie, jak gdyby tylko udawał Roberta Stone'a, jakiego każdy znał.

Musiał przeanalizować pewne niepochlebne fakty dotyczące jego życia i spraw osobistych. Potem wsiadł do samolotu i wrócił do Winter. Do jego Winter, jego wielkiej miłości, do kobiety, która nadawała sens jego życiu.

– Winter – rzekł, patrząc w dal – kiedy byłem w Nowym Jorku, rozmyślałem o możliwościach, jakimi dysponują moi zastępcy na całym świecie. Są to kompetentni, inteligentni ludzie. Oczywiście, pewne transakcje nadal będę musiał prowadzić osobiście, ale dając im więcej samodzielności, będę mógł wyjeżdżać znacznie rzadziej.

– Dalej – zachęciła Winter z rosnącą w sercu nadzieją.

– Dostałem raport mówiący o możliwościach inwestycji w

Arizonie; grunty, ekonomika i tym podobne.

– No i... ?

– Można próbować. Region ma duży potencjał. Proponuję moją część kompromisu; uczynię Tucson swoim centrum operacyjnym.

– Przecież ty nie lubisz pustyni.

– Nieprawda. Po prostu nie przemyślałem tego. Spojrzałem tylko na pustynię. Stwierdziłem, że jest pusta, martwa i gorąca, i odrzuciłem ją. Ty pokazałaś mi piękno burzy na pustyni. Muszę się jeszcze wiele nauczyć. Teraz będę tu wystarczająco długo, by przyjrzeć się na przykład zachodom słońca.

– Och, Robercie, to cudownie. Ja... Pokręcił głową.

– Nie. Poczekaj. Mówimy o kompromisie. Pamiętasz? Pół na pół. Ciągle jeszcze będę podróżował, niezbyt często, ale jednak. Chcę, żebyś wówczas była przy mnie. Nie mów teraz nic; dopiero jak się namyślisz. Chcę mieć pełny obraz naszego życia.

Zatrzymał się na czerwonym świetle i popatrzył na nią.

– To ty musisz zdecydować. Czy pragniesz wyjść ze swojego bezpiecznego świata, opuścić swój dom, pozwolić Siki i innym zaopiekować się *Wschodzącym Słońcem* pod twoją nieobecność?

– Ale...

– Tylko słuchaj, dobrze? Tak to będzie wyglądało z zewnątrz. Naprawdę zaś uwolnisz się od bólu przeszłości i będziesz gotowa dzielić ze mną przyszłość.

Światło zmieniło się na zielone i Robert znów skoncentrował się najeździe.

– Nie mów nic – ciągnął. – Przemyśl wpierw to wszystko. Nie spiesz się. O, już widać szpital. Czy Siki chciała chłopca czy dziewczynkę?

– Co? Och, dla niej to bez różnicy. Chce mieć po prostu zdrowe dziecko. Barry wolałby dziewczynkę; taka jest tradycja Apaczów.

– Naprawdę? Sądziłbym raczej, że pierworodnym dzieckiem powinien być syn, potencjalny wódz lub wojownik.

– Nie. Apacze zawsze chcą mieć najpierw dziewczynkę. Kobiety Chiricahua mają te same prawa co i mężczyźni. Doświadczenie i mądrość kobiety otoczone są głębokim szacunkiem.

– Ciekawe – rzekł Robert. – Zupełnie się z tym zgadzam. Nawet na pierwszym miejscu mojej listy najważniejszych osób jest pewna półkrwi Apaczka.

Winter uśmiechnęła się, ale gdy przypomniała sobie, co według Roberta ma być jej częścią kompromisu, uśmiech zniknął z jej twarzy. Chłodne uczucie strachu towarzyszyło rozbrzmiewającym w jej umyśle słowom Roberta.

* * *

Mniej więcej trzy godziny później Siki i Barry byli dumnymi

rodzicami trzyipółkilogramowej dziewczynki. Rozpromieniony Barry oświadczył, że jest ona najpiękniejszym, absolutnie najwspanialszym dzieckiem.

Według słów Barry'ego, Siki była spokojna i dzielna, on zaś mało nie zwariował w poczekalni. Właśnie szedł pożegnać się z Siki, sugerując, że jeśli Winter i Robert pospieszą się, pielęgniarka może pokazać im dziecko.

– Ucałuj ode mnie Siki – powiedziała Winter, uśmiechając się do Barry'ego. – I gratuluję wam obojgu, – Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie – stwierdził świeżo upieczony ojciec. – Idźcie obejrzeć dziecko. Nie uwierzycie, jakie jest piękne.

– Dobrze, już dobrze – roześmiała się Winter – idziemy. Aha! Jakie daliście jej imię? Ostatnio, kiedy pytałam Siki, mówiła, że nie możecie się zdecydować.

– Ma na imię Robin – rzekł Barry dumnie. – Robin Winter Nanchez.

– Och, Barry, czuję się zaszczycona. Nie miałam pojęcia, że wy... Nie wiem, co powiedzieć.

– Idź ją zobaczyć – odparł, odwrócił się i pognął do holu.

– Robin Winter Nanchez – powtórzyła miękko. – Dostałam od Siki i Barry'ego uroczy prezent.

Robert objął ją ramieniem.

– Chodź, chcę koniecznie ujrzeć twoją imienniczkę. Przed salą z noworodkami Winter wypisała kredą na tabliczce nazwisko Nanchez i pokazała tabliczkę przez okno. Pielęgniarka uśmiechnęła się, skinęła głową i powiedziała:

– Dwie minuty.

Kilka chwil później podeszła blisko do szyby. W rękę trzymała małe zawiniątko. Odsunęła częściowo różowy kocyk.

– Och! – powiedziała Winter, patrząc tęsknym wzrokiem. – Och, Robercie, popatrz na nią. Czyż nie jest piękna?

– Tak – odparł – rzeczywiście. Boże, jaka ona mała. Gdybym ją trzymał, bałbym się śmiertelnie, żeby jej nie zranić. Ma bardzo gęste włosy, prawda?

– Jak wszystkie indiańskie dzieci – powiedziała Winter w zamyśleniu. Nie potrafiła oderwać oczu od dziecka.

Robert i ja, rozmarzyła się, będziemy mieli urocze dziecko, takie jak Robin Winter, z jedwabiście czarnymi włosami i skórą w kolorze dojrzałej brzoskwini. Robert i ja, razem, stworzymy...

Cud, myślał Robert. To dziecko jest cudowne. Jest dowodem miłości między Siki i Barrym. Nasze dziecko, moje i Winter, będzie miało czarne włosy i złocistą skórę, będzie tak piękne jak Robin Winter. To fantastyczne! Będziemy kochać się z Winter i spłodzimy...

... dziecko, dziecko, myślała Winter. Dziecko, które będzie

częścią Roberta i częścią mnie. Och, Robercie, tak bardzo cię kocham...

Kocham cię, Winter. Przyszłość będzie nasza, jeżeli jej pozwolisz. Proszę, Winter, odrzuć przeszłość, cieszymy się tym, co jest i co będzie.

Pielegniarka odsunęła się i kiwnęła głową komuś w głębi sali. Kurtyna zasłoniła okno.

Winter i Robert stali w bezruchu, jak posągi, patrząc w zasłonę. Robert odchrząknął.

– No cóż – powiedział – Robin Winter Nanchez to pożeraczka serc. Jest naprawdę kimś.

– Tak. Tak» z pewnością – potwierdziła Winter.

– Jesteś głodna? Chcesz, żebyśmy coś zjedli po drodze?

– Nie, dziękuję. Nie mogłabym teraz jeść. – Obróciła się i ruszyła w stronę wyjścia.

Przez całą drogę do domu nie odezwali się słowem, zatopieni we własnych myślach.

Zapadł już zmrok i gwiazdy błyszczały na niebie, gdy Robert zatrzymał się przed tipi. Przykucnął, aby rozdmuchać ogień; po chwili ciepły blask rozjaśnił kamienny krąg. Wyprostował się i natrafił na spojrzenie Winter.

– Cóż, dobrej nocy – powiedział.

– Robercie, czy ty naprawdę zamierzasz tu nocować? Skinął głową.

– Tak. Mam w środku śpiwór, jedzenie, wszystko, czego potrzebuję. Myślę, że to ważne, aby nie tylko mówić o moich intencjach. Chcę ci pokazać, że jestem szczery, że nie rzucam słów na wiatr.

– Ale...

– Idź do domu, dobrze? Jeżeli cię dotknę, wszystko rozprysnie się w drobny mak. Pragnę cię... Bóg jeden wie, jak bardzo chcę się z tobą kochać, ale nie czas na to.

Patrzyła na Roberta długą chwilę, po czym pokiwała głową. Obróciła się i ruszyła powoli do domu. Czowała niespodziewaną pustkę, z trudem stawiała kroki.

W pokoju dziennym włączyła lampkę i podeszła do kominka, by spojrzeć na sowy. Stała, nieświadoma upływu czasu, oddychając ciężko, starając się usłyszeć wiadomość od symboli wiecznej miłości – zakochanych sów.

Robert nie mógł zasnąć. Krótco po północy wyszedł przed tipi, usiadł na trawie i dorzucił do ognia.

Po chwili płomienie, strzeliwszy w niebo, napełniły Roberta przyjemnym ciepłem.

Był strasznie zmęczony podróżą i bezsennymi nocami w Nowym Jorku. Ale też był zbyt spięty, żeby odpoczywać.

Wszystko, wszystko zależało, od tego, co Winter odkryje głęboko w sobie, co stanie się, gdy natrafi na swoje zmary.

Zamknął oczy i ścisnął palcami nasadę swego nosa. Gdyby tylko mógł zasnąć, na kilka godzin uciec od kłopotów i... strachu, który go ogarniał.

Nagle usłyszał obcy dźwięk. Uniósł się, przechylił głowę, starając się dostrzec coś przez ogień i dym.

Później usłyszał melodyjną piosenkę śpiewaną przez Winter.

Płaczę w ciemności,

Jak deszcz moje łzy,

Lecz me serce czyste,

Już nie boli nic.

Z biciem serca zerwał się na równe nogi. Winter kroczyła ku niemu, jakby nierealna w mgiełce dymu i blasku ognia. Miała na sobie białą sukienkę z cielecej skóry ozdobioną mnóstwem koralików. Jej włosy opadały na ramiona błyszczącą kaskadą. Śpiewała:

Moje serce śpiewa,

Dusza wolna jest

Od strachów przeszłości,

Co ścigały mnie.

Oczarowany jej pięknem i silnym, dźwięcznym głosem, Robert trwał nieruchomo, wsłuchując się łapczywie w słowa piosenki.

*Wschodzące słońce,
Jeśli wyjedziemy
Gdzieś daleko stąd,
Szczęście będzie z nami,
A z niego nasz dom.
I nasze wschodzące słońce,
Wschodzące słońce,
Wschodzące słońce...*

Umilkła i zbliżyła się do Roberta.

– Robercie – rzekła – daruj, że zbyt mało było we mnie mądrości, by wybaczyć sobie winy. Ta sukienka należała do Bright Winter Star, Zachowałam ją, aby przypominała mi, jak ohydnie zdradziłam moich bliskich i siebie. – Wzdrygnęła się. – Ale teraz pozwoliłam odejść przeszłości. Bright Winter Star, cały ten fragment mojego życia, nie będzie mnie już więcej dręczyć. Nie mogę się tego wyprzeć, ale teraz mogę być tą *Wschodzące słońce...*

Stała tuż obok ognia i spojrzała na niego. W jej oczach błyszczały łzy; łamiącym się głosem zaczęła następną zwrotkę.

*To już nie jest miejsce, Gdzie ukrywam się, To śmiałość,
odwaga, To jest życie me.*

Robert poddał się emocjom. Łzy stanęły mu w oczach.

Wschodzące słońce,

Wschodzące słońce...

Kocham cię, najmilszy,

Przy tobie chcę stać,

Dopóki szept śmierci

Nie rozłączy nas.

Winter Holt, w której się zakochałeś. Nasze wschodzące słońce. .. nasze, Robercie, zaświeci wszędzie tam, gdzie będziemy. Kocham cię. To, co proponujesz, twój kompromis jest doskonały i z radością nań przystaję. *Para-ah-dee-ah-tran*, mój ukochany Robercie, *para-ah-dee-ah-tran* na zawsze.

Robert okrążył ognisko, stanął przy niej i ujął jej twarz w dłonie. Nawet nie próbował ukryć łez.

– Och, Winter – powiedział drżącym z emocji głosem – dzięki Bogu. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię stracił. Kocham cię tak bardzo. Pragnę spędzić z tobą resztę mojego życia. Chcę się z tobą kochać, chcę, żebyśmy mieli dziecko. Ach, Winter, jesteś moim wschodzącym słońcem.

Zamknął jej usta w ognistym pocałunku, który oddalił wspomnienia bólu i strachu i uświadomił im, że już zawsze będą razem.

I pocałunek rozпалиł pożądanie, jaskrawe i wszechogarniające niczym blask ognia przed tipi.

Robert uniósł głowę i popatrzył Winter w oczy.

– Pragnę cię, Winter – rzekł. – Ale też i potrzebuję cię, Kocham. Co się stało, że zmieniłaś zdanie? Bałem się, tak cholernie się bałem, że zmory przeszłości okażą się silniejsze od mojej miłości do ciebie. Co się stało?

– Słuchałam. Słuchałam i usłyszałam, co powiedziały.

– Powiedziały? Kto?

– To były... – Przerwała i uśmiechnęła się do niego, a miłosne błyski zatańczyły w jej pięknych oczach. – Znasz ten dźwięk?

Nasłuchiwał, przekrzywiwszy głowę.

– Sowy. To... Tak. Para sów; nawołują się i odpowiadają, jak gdyby rozmawiały.

– Tak.

– Chwileczkę, Winter. Czy masz na myśli, że zakochane sowy, nasze zakochane sowy powiedziały ci... ?

– To właśnie będę opowiadać naszym dzieciom i wnukom, Robercie. A potem zaśpiewam im piosenkę o wschodzącym słońcu.

Musnął jej usta swoimi.

– Świetnie. Rodzina Stone'ów będzie miała własną legendę. To mi się podoba. Chodźmy do środka, Winter. Chcę kochać się z tobą do rana, a nie jestem stworzony do życia w tipi.

Zgasili ogień, po czym objęli się ramionami i weszli do domu.

– Idź przodem – rzekła Winter. – Chcę jeszcze zgasić światło.

– Będę czekał na ciebie – powiedział, kierując się do holu.

Winter weszła do pokoju i patrząc na puste miejsce na półce nad kominkiem, uśmiechnęła się delikatnie. Odwróciła się i spojrzała w ciemność za oknem.

– Dziękuję wam – wyszeptała. – Bardzo wam dziękuję.

Gdzieś w oddali pohukiwały sowy.

Przesłała całusa w mrok i wybiegła do holu. Chciała jak najprędzej spotkać się z Robertem Stone'em, z mężczyzną, którego cały czas kochała, który był jej drugą połową, jej wschodzącym słońcem.